BŁAWATEK

KALENDARZYK DAMSKI

na rok 1904

LWÓW

KAL NDA

DAMSKI

BŁAWATEK

NA ROK

1904.



NAKŁADEM

DRUKARNI NARODOWEJ (MANIECKICH) WE LWOWIE.



KALENDARZ ŚWIĄTECZNY POWSZECHNY.

Suchedni.

W Środę, Piątek i Sobotę 24. 26. i 27. Lutego.
W Środę, Piątek i Sobotę 25. 27. i 28. Maja.
W Środę, Piątek i Sobotę 21. 23. i 24. Września.
W Środę, Piątek i Sobotę 14. 16. i 17. Grudnia.

Wigilie z postem ścisłym.

Do Zielonych Świątek — do śś. Apostołów Piotra i Pawła — do Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny — do Wszystkich Świętych — do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny — do Bożego Narodz.

Wigilia przypadająca w Niedzielę, przenosi się na Sobotę poprzedzającą; — jeśli zaś uroczystość Bożego Narodzenia przypada w Piątek lub Sobotę, wtedy postu niema.

Dnie krzyżowe.

W Poniedziałek, Wtorek i Środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, t. j. 9. 10. i 11 Maja.

Święta ruchome.

według kalendarza rzymsko-katolickiego

Popielec . . . . 17. Lutego
Wielkanoc . . . . 3. Kwietnia
Wniebowstąpienie Pańskie . . . 12. Maja
Zielone Święta . . . . . 22. Maja
Boże Ciało . . . . 2. Czerwca

Święta ruchome

według kalendarza grecko-katolickiego

Nedila Miasopustna . . . . 1. Fewruarja
Nedila Syropustna . . . . 8. Fewruarja
Woskresenie Chrysta . . . . 28. Marta
Woznesenie Hospoda . . . . 6. Maja
Soszestwie św. Ducha . . . . 16. Maja

Zaćmienia przypadające w roku 1904.

W roku 1904 przypadają dwa zaćmienia słońca, z których atoli żadne w naszych okolicach widzialne nie będzie. Księżyc w tym roku zaćmionym nie będzie.

1) Zaćmienie słońca dnia 17. Marca, zaczyna się o godzinie 4 minut 10 rano, a kończy się o godzinie 10 minut 18. — Widzialne tylko będzie w wschodniej połowie Afryki, w południowo-wschodniej połowie Azyi i na indyjskim Oceanie

2) Zaćmienie słońca dnia 9. Września, zaczyna się o godzinie 7 minut 41 wieczór, a kończy się o godzinie 0 minut 54 rano. Widzialne będzie tylko na wielkim Oceanie i w zachodniej połowie Ameryki południowej.

Panującym planetą w roku 1904 jest Mars.

Wedle długoletnich doświadczeń rok ten, jako należący pod panowanie planety Marsa, będzie w ogólności więcej suchy niż wilgotny. Prawdopodobnie więc wiosna będzie sucha i zimna, lato bardzo gorące, jesień także więcej sucha jak mokra, zima zaś dosyć mroźna, przytem wcale niestateczna.

W ogóle są lata Marsa w urodzaje nienajlepsze.

Tablica świąt ruchomych na przyszłych lat 10.

ROK:	POPIELEC:	WIELKAN.	ZIEL. SW.	BOŻE CIA.	ADWENT
1905	8 Marca	23 Kwiet.	11 Czerw.	22 Czerw.	3 Grud.
1906	28 Lutego	15 „	3 „	14 „	2 „
1907	13 „	31 Marca	19 Maja	30 Maja	1 „
1908	4 Marca	19 Kwiet.	7 Czerw	18 Czerw.	29 Listop.
1909	24 Lutego	11 „	30 Maja	10 „	28 „
1910	9 „	27 Marca	15 „	26 Maja	27 „
1911	1 Marca	16 Kwiet.	4 Czerw.	15 Czerw.	3 Grudn.
1912	20 Lutego	7 „	26 Maja	6 „	1 „
1913	5 Lutego	23. Marca	11 Maja	22 „	30 Listop.
1904	17 „	3 Kwiet.	22 „	2 Czerw.	27 „

STYCZEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak WODNIKA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Nowy Rok	19 Wonyfatya	Mieczysław
2 S	Makarego op.	20 Ihnatyja	Strzeżysław
3 N	C. po Now. R.	21 N. pred Rożd.	Włastymiła
4 P	Tytusa B.	22 Anastazyi m.	Dobromir
5 W	Telesfora b.	23 10 Mucz. w Kr.	Włastybór
6 Ś	Trzech Króli	24 Jewhenyi	Bojomir
7 C	Walentego b.	25 Rożd. Chrysta	Świętosław
8 P	Seweryna op.	26 Sobor Pr. Boh.	Mścisław
9 S	Marcyanny ☾	27 Stefana Mucz.	Władymira
10 N	C. 1. po 3 Król.	28 N. po Rożd.	Dobrosław
11 P	Higiniusza	29 S. S. Mład.	Krzesimir
12 W	Honoraty p.	30 Anysyi m.	Czesława
13 Ś	Hilarego b.	31 Mełanyi Rum.	Bogomir
14 C	Feliksa z Noli	1 Henwar 1904	Radogost
15 P	Maura opata	2 Sylwestra	Domosław
16 S	Marcelego I. p.	3 Małachyja pr.	Włodzim.
17 N	C. 2. po 3 K.	4 N pred Bohoj.	Rościsław
18 P	Pryski p.	5 Fteopempta	Jaropełk
19 W	Ferdynanda	6 Bohoj. Hosp.	Ratimir
20 Ś	Fab. i Seb.	7 Sobor św. J.	Sebastyan
21 C	Agnieszki p.m.	8 Hryhorya pr.	Jarosława
22 P	Wincentego m.	9 Połyjewkta	Witysław
23 S	*Zaślub. N.M.P.*	10 Hryhorya ep.	Wrocisława
24 N	C. 3. po 3 Król.	11 N. 1 po Boh.	Chwalibóg
25 P	Nawr. ś. P. ☽	12 Tatiany M.	Miłosz
26 W	Polikarpa b.	13 Ermyła i Str.	Skarbimir
27 Ś	Jana Chryz.	14 SS. Otec w S.	Przybysław
28 C	Karola Wiel.	15 Pawła Ft.	Radomir
29 P	Franciszka S.	16 Petra Weryhy	Zdzisław
30 S	Martyny p.	17 Antcnya Weł.	Dobrogn.
31 N	C. Starozap.	18 N. 2 po Boh.	Spitogniew

NOTATKI

NOTATKI

LUTY

ma dni 29.

Słońce wstępuje w znak RYBY dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Ignacego	19 Makarya	Żegota
2 W	NPM. Gromnicz.	20 Ewfymija W.	Miłosława
3 Ś	Błażeja b.	21 Maksyma Jep.	Błażeja
4 C	Weroniki P.	22 Tymofteja Ap.	Witosława
5 P	Agaty Panny	23 Kłymenta M.	Dobrochna
6 S	Doroty Panny	24 Xenyi Prep.	Bohdana
7 N	C. Mięsopust.	25 N. 3 o obł. syn	Sulisław b.
8 P	Jana z Mal.	26 Ksenofonta	Gniewomir
9 W	Apolonii	27 Joana Chryz.	Gorysław
10 Ś	Scholastyki p.	28 Jefrema	Tomiła
11 C	Lucyusza b	29 Ihnatyą mucz.	Świętochna
12 P	Eulalii P. M	30 Trech Swiat.	Radzyn św.
13 S	Katarzyny R.	31 Kyra i Joana	Jordan św.
14 N	C. Zapustna	1 Fewr N. Mias.	Niemir
15 P	Faustyna M.	2 Stritenje Hosp	Szczęsław
16 W	Julianny P.	3 Symeona i An.	Milada bł.
17 Ś	*Popielec † Kons.*	4 Isydora prep.	Świętorad
18 C	Flawiana	5 Ahaftyi M.	Wielosława
19 P	Konrada Pust	6 Wukoła	Czcisława
20 S	Nicefora Męcz.	7 Parftenija	Ludomił
21 N	B. I Wstęp.	8 N Syrop.	Onosława
22 P	Piotra Kat.	9 Nykyfora	Wrocisława
23 W	Romany pan.	10 Charłampya	Przedzisław
24 Ś	*Dz. przest. †*	11 Własya Mucz.	Mojmir
25 C	Macieja Ap	12 Mełetya arch.	Bogusz
26 P	Anastazyi †	13 Martyniana	Sławobój
27 S	Aleksandra †	14 Auxentia Pr	Mirosław
28 N	B. 2 Sucha	15 N. I Post.	Wiarosława
29 P	Romana Op.	16 Pamfyłyia	Chwalibóg

MARZEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BARANA dnia 20.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	W	Albina B	17 Fteodora M.	Budzisław
2	Ś	Symplicyusza	18 Lwa pap. r.	Radosław
3	C	Kunegundy P.	19 Archypa	Sławomiła
4	P	Kazimierza Kr.	20 Łeona	Kazimierz
5	S	Fryder. Op.	21 Tymofteja	Pakosław
6	N	**B. 3 Głucha**	22 **N. 2 Post.**	Woisław
7	P	Tomasza z Ak.	23 Połykarpa	Bogowit
8	W	Jana Bożego	24 Obr. hł s. Joan.	Miłogost
9	S	Franciszk. ©	25 Tarasia Arch.	Mścisława
10	C	40 Męczen.	26 Porfyrya	Bożesław
11	P	Konstantyna	27 Prokopia	Ludosława
12	S	Grzegorza W.	28 Wasyłya	Swatosz
13	N	**B. 4 Srodop.**	29 **N. 3 Post.**	Niecisław
14	P	Matyldy Pan.	1 **Mart.** Jewdokii	Bożena
15	W	Longina M.	2 Fteodota	Długomir
16	Ś	Lubina Męcz.	3 Ewtropia	Ojcosław
17	C	Gertrudy P.	4 Harasyma Pr.	Zbigniew
18	P	Edwarda H. Kr.	5 Konona M.	Boguchwał
19	S	Józefa Oblub.	6 42 Mucz. w S.	Bohdan
20	N	**B. 5 Czarna**	7 **N. 4 Post.**	Polemir
21	P	Benedykta op	8 Ftcofyłakta Pr.	Lubomira
22	W	Oktawiana	9 S. S. 40 Mucz.	Godysław
23	Ś	Wiktora M	10 Kondrata M	Zbisław
24	C	Gabryela Ar. ☽	11 Sofronya	Lubomira
25	P	**Zwiastow. NPM.**	12 Fteofana	Więczysł.
26	S	Emanuela	13 Nykyfora	Świętobój
27	N	**B. 6 Kwiet.**	14 **N. 5 Post.**	Bohdar bł.
28	P	Sykstusa Pap.	15 Abapia Mucz.	Krzesław
29	W	Cyryla	16 Sawyna	Czcimisław
30	S	Kwiryna M.	17 Ałeksa P.	Szukosław
31	C	*Wieczerza P.*	18 Kyryła Arch.	Dobromira

NOTATKI

NOTATKI

KWIECIEŃ

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak BYKA dnia 20.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	grecko-katol	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	P	*Wielki Piątek*	19 Chrysanfta	Zbigniew
2	S	*Wielka Sobota*	20 Prep. Otec	Sudomir
3	N	**D. Wielkanoc**	21 **N. 6 Post.**	Władysław
4	P	**Poniedz Wielk**	22 Wasyłya	Mnożysław
5	W	Wincentego	23 Nykona Prep.	Bożywój bł.
6	Ś	Celestyna	24 Zacharya Pr.	Świętobór
7	C	Hermana Wyz.	25 **Błah. P. Bohor**	Przesław
8	P	Dyonizego B.	26 **Piatok wełyki**	Radosław
9	S	Maryi Eg.	27 Subota weł.	Dobrosława
10	N	**B. 1 po Wielk.**	28 **Woskr. Hosp.**	Gorysław
11	P	Leona W.	29 **Poned. Woskr.**	Jaromir
12	W	Juliusza Pap.	30 **Wtor. Woskr.**	Lubosław
13	Ś	Justyna M.	31 Ipatya	Drzemysł.
14	C	Waleryana	1 Apr. Maryi	Myślimir
15	P	Anastazyi 🌕	2 Tyta Prep.	Wacław bł.
16	S	Lamberta	3 Nikity	Nosisław
17	N	**B. 2 po Wielk.**	4 **N. 1 po Woskr.**	Krasisław
18	P	Apoloniusza	5 Fteoduła	Gościsław
19	W	Emmy wd.	6 Jewptychia	Włodzim.
20	Ś	Agnieszki P.	7 Hrehorya Pr.	Czesław m.
21	C	Anzelma Bisk.	8 Iridiona	Drogomił
22	P	Sotera i Kaja	9 Jewpsychya	Strzeżymir
23	S	Wojciecha ☽	10 Terentya	Wojciech ś.
24	N	**B. 3 po Wielk.**	11 **N. 2 po Woskr.**	Jerzy św.
25	P	Marka Ew.	12 Wasyłyja Pr.	Jarosław
26	W	Kleta i Mar.	13 Artemona M.	Spitymir
27	Ś	Peregryna	14 Martyna	Bogufał.
28	C	Witalisa M.	15 Arystarcha	Żywisław
29	P	Piotra M.	16 Ahapii Iryny	Sogosławt
30	S	Katarzyny 🌑	17 Symeona M.	Chwalisława

MAJ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BLIŹNIĄT dnia 20.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	N	**B. 4 po Wielk.**	18 **N. 3 po Woskr.**	Lubomir
2	P	Zygmunta kr.	19 Joana Weł.	Witymir
3	W	Znal. św. †	20 Fteodora Tr.	Swiętosław
4	Ś	Floryana m.	21 Januaria	Wieńczysł.
5	C	Piusa V. pap.	22 Fteodora Syk.	Chocisław
6	P	Jana w Oleju	23 Heorhya M.	Gościwitbł.
7	S	Domiceli P. ☾	24 Sawwy M.	Ludomiła
8	N	**B. 5 po Wielk.**	25 **N. 4 po Woskr.**	Stanisławś.
9	P	Grzegorz } Dn.	26 Wasyłyja	Bożerad bł.
10	W	Izydora } krz.	27 Symeona Jep.	Cierpimir
11	Ś	Beatryk. }	28 Jasona arch.	Ludowit
12	C	**Wniebowst. P.**	29 Dewiat Mucz.	Wszemił
13	P	Serwacego	30 Jakowa Ap.	Cichosław
14	S	Bonifacego	1 **Maja.** Jermyi	Dobiesław
15	N	**B. 6 po W.** 🌕	2 **N. 5 po Woskr.**	Strzeżysł.
16	P	Jana Nepom.	3 Tymofteja	Wieńczysł.
17	W	Paschalisa	4 Pełahyi M.	Sławomir
18	Ś	Feliksa spow	5 Iryny Mucz.	Wszesław
19	C	Piotra Celes.	6 **Wozn. Hosp.**	Krzesomyśl
20	P	Bernarda S.	7 Znam. cz. kres.	Bronimir
21	S	Heleny kr. †	8 Joana Boh.	Przesława
22	N	**B. Zielone ś.** ☽	9 **N. 6 po Woskr.**	Wisława bł.
23	P	**Pon. Ziel. św.**	10 Symeona Ap.	Budziwoj
24	W	Joanny wd.	11 Mokija	Tomira
25	Ś	Such. Grzeg. †	12 Jepyfanya	Borysława
26	C	Filipa Ner.	13 HłyheryiMucz.	Więcymił
27	P	Jana Pap. †	14 Izydora M.	Rusław
28	S	Wilhelma †	15 Sub. pom.	Jaromir
29	N	**D. 1 po św.** 🌑	16 **Sosz. ś. Ducha**	Bogusława
30	P	Feliksa p.	17 **Poned. Sosz.**	Sulimir
31	W	Petroneli P.	18 Fteodota	Bożesława

NOTATKI

NOTATKI

CZERWIEC

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak RAKA dnia 21.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	Ś	Nikodema M.	19 Patrykia	Świętopełk
2	C	**Boże Ciało**	20 Ftatałeja	Ratysław
3	P	Klotyldy M.	21 Konstantyna	Branmiła
4	S	Kwiryna M.	22 Wasyłyja	Litomił
5	N	**B. 2 po Św.**	23 **N. I W. S. S.**	Dobromir
6	P	Norberta ☾	24 Symeona Pr.	Cichomir
7	W	Roberta B.	25 Obr. hł. ś. J.	Wisław bł.
8	Ś	Medarda bisk.	26 Karpa Ap.	Wyszosław
9	C	Felic. i Prim.	27 Fterraponta	Sławój
10	P	Urocz. ser. Jez.	28 Nykyty	Bogumił
11	S	Barnaby	29 Fteodozyi M.	Radomił
12	N	**B. 3 po Św.**	30 **N. 2 Tił. Chr.**	Wyszomir
13	P	Antoniego ⑬	31 Jermija Ap.	Chotymir
14	W	Bazylego	1 Junyi. Justyny	Przedzimir
15	Ś	Wita i Modes.	2 Nykyfora	Witołd
16	C	Franciszka R.	3 Łukyłyana M.	Budzimir
17	P	Adolfa B.	4 Mytrofana	Drogomysł
18	S	MarkaiMarcel.	5 Dorofteja	Długosław
19	N	**B. 4 po Św.**	6 **N. 3 po Sosz.**	Borzysław
20	P	Sylweryn. ☽	7 Fteodota	Bogna św.
21	W	Alojzego G.	8 Fteodora sw.	Domysław
22	Ś	Paulina Bis.	9 Kyryła Arch.	Proniwój
23	C	Zenona B.	10 Tymoftea	Wanda
24	P	Jana Chrzcic.	11 Warftołomeja	Janisław
25	S	Prospera Bisk.	12 Onufrya Prep.	Władysław
26	N	**B. 5 po Św**	13 **N. 4 po Sosz.**	Rozmysław
27	P	Władysława	14 Ełysija Prep.	Władysław
28	W	Leona II. P. †	15 Amosa Prep.	Zbroisław
29	Ś	**Piotra i Pawła**	16 Tychona	Wyszomir
30	C	Wsp. ś. Pawła	17 Manuiła	Cichosław

LIPIEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak LWA dnia 23.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Teobalda Op.	18 Leontya	Bogusław
2 S	*Naw. NPM.*	19 Judy Apost.	Ojcomił
3 N	**B. 6 po Św.**	20 **N. 5 po Sosz.**	Miłosław
4 P	Józefa Kalas.	21 Julyana m.	Welisław
5 W	Filomeny P.	22 Jewsewya	Prokop
6 Ś	Izajasza ☾	23 Ahrypiny	Izasław
7 C	Pulcheryi P.	24 **Rozd. ś. Joana**	Krasnoroda
8 P	Elżbiety Kr.	25 Fewronyi	Chwalimir
9 S	Cyryla Bisk.	26 Dawyda Ftes.	Strachota
10 N	**B. 7 po Św.**	27 **N. 6 po Sosz.**	Radziwój
11 P	Pelagii M.	28 Kyra i Joan. †	Olga św.
12 W	Henryka	29 **Petra i Pawła**	Tolimir bł.
13 Ś	Małgorzaty 🌑	30 Sob. śś. 12 Ap.	Radomiła
14 C	Bonawentury	1 **Julyi.** K i D.	Dobrogost
15 P	Rozesłan. Ap.	2 Poł. ryzy B.	Radosław
16 S	*NPM. Szkapl.*	3 Jakyntta	Dzierzysł.
17 N	**B. 8 po Św.**	4 **N. 7 po Sosz.**	Dzierzykraj
18 P	Szymona z L.	5 Attanazya	Unisław
19 W	Wincent. ☽	6 Syzona Weł.	Wodzisław
20 Ś	Czesława i K.	7 Ftomy Prep.	Mirosława
21 C	Praksedy	8 Prokopya	Wszebor
22 P	Maryi Magdal.	9 Pankratya	Stosław i D.
23 S	Apolinarego	10 S. S. 45 Mucz.	Bolesława
24 N	**B. 9 po Św.**	11 **N. 8 po Sosz.**	Zelisław
25 P	Jakóba Apost.	12 Prokła	Lubomira
26 W	Anny m. MP.	13 Sobor. ś. Haw.	Sławosz
27 Ś	Natalii P. 🌕	14 Akyły Ap.	Czesław
28 C	Innocentego	15 Kyryka i W.	Świętomir
29 P	Marty P.	16 Attynohena	Cierpisław.
30 S	Abdona i Sen.	17 Martyny w. m.	Zdobysław
31 N	**B. 10 po Św.**	18 **N. 9 po Sosz.**	Ludomir

NOTATKI

NOTATKI

SIERPIEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak PANNY dnia 23.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA		IMIONA SŁOWIAŃSKIE
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	
1 P	Piotra w Ok.	19 Makryny	Bolisław
2 W	*NPM. Anielsk.*	20 Iłyi Pro	Świętosł.
3 S	Znal. ś. Szcz.	21 Symeona Pr.	Letosław
4 C	Dominika ☾	22 Maryi Mahd.	Ostromir b.
5 P	*NPM. Śnieżnej*	23 Trofyma	Stanisł. ś.
6 S	*Przem. Pańsk.*	24 Chrystyny	Chlebosław
7 N	B. 11 po Św.	25 N. 10 po Sosz.	Oleh św.
8 P	Cyryaka M.	26 Jermołaja	Niezamyśl
9 W	Romana i Sek.	27 Pantałejmona	Borys i Chl.
10 Ś	Wawrzyńca	28 Prohora i Nik.	Wawrzyn.
11 C	Zuzanny 🌕	29 Kałłynyka	Włodzimira
12 P	Klary Panny	30 Syły Ap.	Sława bł.
13 S	Hipolita M. †	31 Jowdokima	Rosław
14 N	B. 12 po Św	1 Awh. N. 11 po S.	Dobrowój
15 P	Wniebow. NPM.	2 Stefana M.	Jacław św.
16 W	Rocha wyzn	3 Izaakija	Domorad
17 Ś	Liberata B.	4 7 Otrok w E.	Miron św.
18 C	Heleny Ces. ☽	5 Ewsychnia	Bronisława
19 P	Benigny Pann.	6 Preobr. Hosp.	Bolesław
20 S	Stefana Króla	7 Dometya Pr.	Sobiesław
21 N	B. 13 po Św.	8 N. 12 po S sz.	Kazimira
22 P	Filiberta Op.	9 Mafteja ap.	Radomił
23 W	Filipa Bis.	10 Ławrentya M.	Cichomił
24 Ś	Bartłomieja	11 Jewpła	Cieszymir
25 C	Ludwika Kr.	12 Fotya m.	Namysław
26 P	Zefiryny 🌑	13 Maksyma P.	Włastymiła
27 S	Przen. ś. Kaź.	14 Mycheja pr.	Przedzisł.
28 N	B. 14 po Sw.	15 N. 13 po S. U. B.	Wyszomir
29 P	Ścięcie ś. J. Ch.	16 Nerukoł. Obr.	Racibor bł.
30 W	Róży z Limy	17 Myrona	Szczęsny ś.
31 Ś	Rajmunda	18 Flora i Ławra	Świętosław

WRZESIEŃ

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak WAGI dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 C	Idziego Op.	19 Andreja M.	Dzierzysł.
2 P	Justa B.	20 Samuiła Prep.	Czcibóg
3 S	Bronisł. i Izab.	21 Ftadeja Ap.	Przesławа ś
4 N	**B. 15 po Św.**	22 **N. 14 po Sosz.**	Rościsław
5 P	Wawrzyńca	23 Łuppa Mucz.	Wodzisław
6 W	Zacharjasza	24 Ewtychia	Drogowit
7 Ś	Reginy Panny	25 Wartłomieja	Domosława
8 C	**Narodz. NPM.**	26 Andryana M.	Radosława
9 P	Gorgoniusz.	27 Pymona Prep.	Sobiebór
10 S	Mikołaja z Tol.	28 Mojseja	Władybój
11 N	**B. 16 po Św.**	29 **N. 15 po Sosz.**	Iścisław
12 P	Gwidona w.	30 Ałeksandra	Radzimir
13 W	Tobiasza	31 Poł. Poj. P. B.	Chronisław
14 Ś	*Podwyższ. ś.* †	1 **Sept.** Symeona	Ziemomysł
15 C	Nikodema m.	2 Mamanta m.	Budzimił
16 P	Ludmili ☽	3 Anftyma	Sędzisław
17 S	Lamberta b.	4 Wawyły	Drogosław
18 N	**B. 17 po Św.**	5 **N. 16 po Sosz.**	Dobrowit
19 P	Januarjusz	6 Wosp.cz.Mych.	Krzepimir
20 W	Eustachyusza	7 S zanta	Myślisław
21 Ś	*Such.* Mat. †	8 **Rożd. Bohor.**	Bożydar
22 C	Maurycego M.	9 Joakima	Zelimir
23 P	Tekli P. †	10 Mynodory M.	Bogusława
24 S	Gerarda †	11 Fteodory Prep.	Homir
25 N	**B. 18 po Św.**	12 **N. 17 po Sosz.**	Świętopełk
26 P	Cypryana	13 Kornyła Sot.	Ładysławb.
27 W	Kosmy i Dam.	14 **Wozn. cz. kres.**	Damian
28 Ś	Wacława Kr.	15 Nykyty m.	Wacławśw.
29 C	**Michała arch.**	16 Jewfimyi	Dadzibóg
30 P	Hieronima W.	17 Sofii Mucz.	Imisław

NOTATKI

NOTATKI

PAŹDZIERNIK

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak NIEDŹWIADKA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 S	Remigiusza	18 Ewmenya Pr.	Znatysław
2 N	B. 19 po S. ☾	19 N. 18 po Sosz.	Stanimir
3 P	Kandyda M.	20 Eustafia M.	Siemau
4 W	Franciszk Ser.	21 Kodrata	Bratysław
5 Ś	Placyda Męcz.	22 Foky Mucz.	Zasław
6 C	Brunona Wyz.	23 Zacz. św. Joana	Bronisław
7 P	Justyny Panny	24 Ftekły Mucz.	Rosława
8 S	Brygidy wdo.	25 Eufrozyny	Wojsława
9 N	B. 20 po S. 🌕	26 N. 19 po Sosz.	Dogomost
10 P	Franc. Borgia	27 Kałystrata	Tomił
11 W	Placydy M.	28 Charytona	Dobromiła
12 Ś	Maksymiliana	29 Kyriaka	Grzmisław
13 C	Edwarda Król.	30 Hryhorya Weł.	Ziemisław
14 P	Kaliksta pap.	1 Okt. Pokr. P. B.	Dzierżymir
15 S	Jadwigi i Ter.	2 Kypryana M.	Długosława
16 N	B. 21 po S. ☽	3 N. 20 po Sosz.	Radzisław
17 P	Łucyny	4 Jerofteja	Zastysława
18 W	Łukasza Ew.	5 Charytyny M.	Bratumił
19 Ś	Piotra z Alk.	6 Ftomy Apost.	Ziemowit
20 C	Felicyana B.	7 Serhya M.	Budzisława
21 P	Urszuli P. M.	8 Pelahyi M.	Daromiła
22 S	Korduli Panny	9 Jakowa Ap.	Przebysław.
23 N	B. 22 po Św.	10 N. 21 po Sosz.	Włastymir
24 P	Rafała Arch.	11 Fyłypa Ap.	Siemisław
25 W	Kryspiny	12 Prowa M.	Samomysł
26 Ś	Ewarysta P.	13 Karpa Mucz.	Lutosław
27 C	Sabiny Męcz.	14 Nazarya i Par.	Witomił
28 P	Szymona i Jud.	15 Ewfymyi	Władybóg
29 S	Narcyza bisk.	16 Łonhyna m.	Damclit
30 N	B. 23 po Św.	17 N. 22 po Sosz.	Przemysł.
31 P	Wolfganga †	18 Łuki Ap.	Godzimir



LISTOPAD



ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak STRZELCA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 W	**Wsz. Św.** ☾	19 Joiła Pr.	Warcisław
2 Ś	*Dzień zadusz.*	20 Artemija	Witymir
3 C	Huberta bisk.	21 Iłaryona Pr.	Chwalisł.
4 P	Karola Borom.	22 Awerkyja	Mściwój
5 S	Elżbiety Męcz.	23 Jakowa Ap.	Sławomir
6 N	**B. 24 po Św.**	24 **N. 23 po Sosz.**	Wszewład
7 P	Herkulana 🌕	25 Markyana	Żytomir
8 W	4 Koronat.	26 **Dymetrya**	Sędziwój
9 Ś	Teodora Męcz.	27 Nestora Mucz.	Bogodar
10 C	Andrzeja	28 Terentya M.	Ludomir
11 P	Marcina Bis.	29 Anastazyi M.	Spitosław
12 S	Marcina Pap.	30 Zynowija M.	Nowosław
13 N	**B. 25 po Św.**	31 **N. 24 po Sosz.**	Wszerad
14 P	Serafina Wyz.	1 **Noj.** Kos. i Da.	Wodzimir
15 W	Leopolda ☽	2 Akindyna	Przybysł.
16 Ś	Otmara Opata	3 Akepsyny M.	Radomir
17 C	Salomei Panny	4 Joannyka Pr.	Zbisław
18 P	Ottona Opata	5 Hałaktyona	Stanisł. K.
19 S	Elżbiety Kr.	6 Pawła Archep.	Drogomira
20 N	**B. 26 po Św.**	7 **N. 25 po Sosz.**	Sędzimir
21 P	*Ofiarow. NPM.*	8 **Mychaiła Arch.**	Sław
22 W	Cecylii P.	9 Onysifora	Wszemiła
23 Ś	Klemensa 🌑	10 Erasta Ap.	Miływój
24 C	Jana od Krz.	11 Myny Mucz.	Dorosław
25 P	Katarzyny P.	12 Joana Mył.	Chwalimir.
26 S	Konrada M.	13 Joanna Złot.	Lechosław
27 N	**B. I Adwent.**	14 **N. 26 po Sosz.**	Tomir
28 P	Krescentego	15 Hurya i Sams.	Gościsław
29 W	Saturnina M.	16 Mafteja Ap.	Przemyśl
30 Ś	Andrzeja Ap.	17 Hryhorya N.	Ludosław

NOTATKI

NOTATKI

rzeczy p. Stanisławowi wydane 10/12

1 Stolik z 2 wykładkami

2 Kanapy z poduszką

2 Taburety z wierzchami

3 Fotele dwa jednakie a trzeci z

oparciem wysokiem 10/12

GRUDZIEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak KOZIOROŻCA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 C	Eligiusza bisk.	18 Platona	Samosława
2 P	Bibianny P.	19 Awdyja	Szulisław
3 S	Franciszka Ks.	20 Hryhorya	Wislimir
4 N	**B. 2 Adwent.**	21 **N. 27 po Sosz.**	Lubomiła
5 P	Sabby Opata	22 Fyłymona	Spitosława
6 W	Mikołaja B.	23 Amfyłokia	Jarogniew
7 Ś	Ambroż. †	24 Ekateryny	Ludomyśl
8 C	**Niep. Pocz. M.**	25 Kłymenta	Boguwola
9 P	Leokadyi	26 Ałyppa	Weszława
10 S	*NPM. Loretań.*	27 Jakowa Mucz.	Radzisława
11 N	**B. 3 Adwent.**	28 **N. 28 po Sosz.**	Wojmir
12 P	Aleksandra żoł.	29 Paramona	Wolidar
13 W	Łucyi i Ot.	30 Andreja Ap.	Władysław
14 Ś	*Such.* Nik. † ☽	1 **Dekem.** Nauma	Sławitlor
15 C	Fortunata	2 Awakuma	Wolimir
16 P	Adelajdy †	3 Sofonia	Zdosława
17 S	Łazarza B. †	4 Warwary M.	Żyrosław
18 N	**B. 4 Adwent.**	5 **N. 29 po Sosz.**	Wszemł
19 P	Nemezyusza	6 **Nykołaja Ap.**	Mściegniew
20 W	Teofila M.	7 Amfrozya	Bogumiła
21 Ś	Tomasza Ap.	8 Patapia	Tomisław
22 C	Zenona M.	9 **Zaczat. P. Boh.**	Drogomir
23 P	Wiktoryi Pan.	10 Myny i Erm.	Sławomira
24 S	Ad. i Ew. *Wig.* †	11 Danyiła St.	Godysława
25 N	**Boże Narodzen.**	12 **N. 30 po Sosz.**	Grzmisł.
26 P	**Szczepana m.**	13 Ewstrachia	Wróciwój
27 W	Jana Ew.	14 Ftyrsa M.	Radomyśl
28 Ś	Młodzianków	15 Jełewterya	Godzisław
29 C	Tomasza ☾	16 Ahhea pr	Gosław bł.
30 P	Dawida Króla	17 Danyiła	Ludomił.
31 S	Sylwestra Pap.	18 SewastyjonaM.	Lassota

TARYFA

fiakrów i dorożek.

	Fiakier dwukonny		Dorożka 2-konna		Dorożka 1-konna	
	K	h.	K	h	K	h
Za jazdę z lekkim pakunkiem:						
z miasta do dworca głównego lub odwrotnie w dzień	2	—	1	20		90
w nocy	2	20	1	40	1	—
Z miasta do dworca Podzamcze lub odwrotnie, w dzień	1	80	1	—		80
w nocy	2	—	1	20		90
Za większy pakunek umieszczony na koźle		40		40		40
Za jazdę pojedynczą bez zatrzymania się i powrotu, w dzień		90		60		50
w nocy	1	—		70		60
Jazdy za wynagrodzeniem czasu:						
za pierwszych 30 minut, w dzień	1	40		90		70
w nocy	1	60	1	—		80
za każde następne 15 minut w dzień		50		30		24
w nocy		60		40		30
Za jazdę spacerową za pierwszych 30 minut, w dzień	1	60	1	20		80
w nocy	1	80	1	40	1	—
za każde następne 15 min. w dzień		60		40		28
w nocy		70		50		34
Jazdy: na Wysoki Zamek, do ogrodu Kiselki, do Pohulanki, na Zofiówkę, do Żelaznej wody, na Wulkę, do wojskowej pływalni, na Bajki, do cmentarzy i dworca czerniowieckiego w dzień	1	40		80		60
w nocy	1	60	1	—		70
Do rogatek: Janowskiej, Łyczakowskiej, Stryjskiej, Wuleckiej, Zielonej; do toru wyścigowego, Cetnerówki, Krasuczyna i Snopkowa, w dzień	1	60	1	—		70
w nocy	1	80	1	20		90


NOWOROCZNIK
„BŁAWATKA"

Pieśń wiosenna.

Miłości, o, miłości, wszystko czuje ciebie!
Ty boskiem tętnem bijesz w ziemi łonie,
Wolnym tchem wiatru ty latasz po niebie,
W pierwszych fiołków ty kryjesz się słodkie,
Lękliwe i czyste wonie!

Wieczny prąd życia, ty płodna, grzejąca,
Ledwie zrodzone źdźbła przenikasz dreszczem.
Z skowronkiem śpiewasz, wśród pyłków tysiąca
Słonecznych latasz, i niebo i ziemię
Iskierek wyzłacasz deszczem!

Miłości — o, miłości — wszystko czuje ciebie!
— Wszystko drży w uniesieniu twoim niepokojem.
Woń dajesz różom, skrzydła powiewom na niebie,
Ziemię nakrywasz szeptem i pocałunkami...
Lecz martwaś jest — w sercu mojem.

Ada Negri.
(przekład) Maryi Konopnickiej.



Najpiękniejsza.

Ze wszystkich krain na szerokiej ziemi,
Dokąd pamięcią gnane myśli płyną —
Tyś najpiękniejsza pomiędzy wszystkiemi,
Najdroższa dla mnie, o — moja kraino!
Widziałem laurów woniejące gaje,
Niebo Iberyi, piękne Renu brzegi
I morza one, za któremi wstaje
Słońce i ciągną złote gwiazd szeregi.
Widziałem ziemie o gór śnieżnych szczytach,
Na które ludziom niedostępna droga —
Igły lodowców tonęły w błękitach
I byłem pewny, że widziały Boga.
Słyszałem w Alpach wodospadów grzmoty
I gondelorów senną pieśń w Wenecyi —
Lecz duch mój zawsze jest pełen tęsknoty,
Że lecąc naprzód, nie do ciebie leci!

Nad laurów gaje i strojne granaty
O liściu wązkiem i o kwieciu krwawem —
Wolę ja białe, czeremchowe kwiaty
I smutną wierzbę nad błękitnem stawem.

I nad rzeźbione pałaców portyki,
Gdzie bluszcz rozrosły szczerby wieków kryje —
Wolę ten powój malutki i dziki,
Który u płotu naszych chat się wije.
Nad pieśń wenecką dla mnie więcej śpiewne
Dźwięki dum, brzmiące w wiśniowych ogrodach —

Nad błękit włoski wolę mgły powiewne,
Które na naszych osiadają wodach.
Znam ziemie wszystkie! wichrowemi loty
Już je przebiegłem raz — drugi — i trzeci...
Lecz duch mój zawsze jest pełen tęsknoty,
Że lecąc naprzód — nie do ciebie leci!

Kazimierz Gliński.





PRÓŻNIA ŻYCIA.

Życie nie jest zabawką — powtarzają to sobie pokolenia od wieków przez wieki. Szepcą o tem tak samo starcy pochyleni ciężarem lat wielu, jak i młodzieńcy, którzy dopiero poczynają bojować z trudami życia. Wie o tem tak samo strojna w brylanty i błyszcząca wdziękami dama wielkiego świata, jak i uboga pracownica, której dłonie zapracowane w mozolnej walce o byt twardnieją zbyt wcześnie. Nie zabawką jest życie — wszak prawda, a przecież — przecież są tacy, którzy chcieliby tylko się bawić, którzy nie wiedzą, jak wypełnić godziny dnia i nudząc się śmiertelnie, czują w duszy wielką próżnię.

Próżnia życia — to choroba ducha. Co więcej, to kalectwo moralne, to ogromne zbłądzenie w drodze, którą nas od kolebki do mogiły przeznaczenie prowadzi i nie ma zdaje się nieszczęśliwszych a biedniejszych ludzi nad tych, którzy nie wiedzą, czem życie wypełnić.

Czem życie wypełnić?... Ależ to pytanie chyba urąga godności człowieka posiadającego ducha — myśl — serce. Chyba odpowiadać będą nań ogromne szeregi ludzi wielkich pracą — poświęceniem — bohaterstwem, którzy żyli jak my, ale lepiej jak my umieli swemu życiu nadać treść — którzy nie pytali, czem życie wypełnić, lecz z przepełnionej duszą treści życia rzucali snopy na pokarm rzesz głodnych i swoim torem wiedli drugich i naprzód i wyżej...

Czem życie wypełnić?... to chyba znaczy pytać, czem ubarwić łąki kwietne, czem napoić koryta górskich potoków, czem napełnić morze niezgłębione i ustroić lasy bujne i ubogacić pola kłosami się chylące. Wszak życie ma w sobie wszystko, co wielkie, wzniosłe, piękne, szlachetne, nieprzebrane w dary szczęścia, niezmierzone w bogactwie myśli — uczuć — ma-

rzeń. Wszak skarbnica to ogromna jak świat wielki, potężna jak siła myśli — a piękna, jak ideał człowieka. Zkądże stać się może życie tak biedne i bezbarwne, iż niejeden z ludzi pyta — czem tę próżnię wypełnić?...

Ah!... smutna na to odpowiedź

Brak ducha w życiu — oto próżnia niezgłębiona — niezmierzona, oto przepaść bezdenna i biada temu, kto w drogę tę daleką, mozolną, wybrał się z taką próżnią życia. Jako podróżny idący o żebraczym kawałku chleba i groszu rzuconym mu z łaski, nie raz jeden jęczy i narzeka na swą podróż daleką, tak i ci, którzy bez ducha w życiu idą drogą bytu, łamią ręce rozpacznie i wołają ze zwątpieniem — po co życie? na co? Jaki cel jego?...

Życie samo jako życie, jako istnienie, byłoby istotnie ciężką strasznie rzeczą. Ale życie mające przed sobą jasną gwiazdę przeznaczenia do prowadzenia nas do życia tego, w którem już ani śmierci, ani upadku, ni łez nie ma — czyż nie jest najpiękniejszą pieśnią w hymnie tworzenia i nie jest epopeją najwznioślejszą?...

Przecież trzeba umieć żyć.

Jak się uczą jedni malarstwa, drudzy rzemiosła, inni filozofii i matematyki, tak muszą się ludzie też uczyć żyć. Nie wszyscy. Są bowiem jednostki takie, które już od lat najwcześniejszych życia nie brały za zabawkę i zrozumiały, czem trzeba istnienie to wypełnić Takie istoty nietylko, że się nigdy nie nudzą, ani pytają, czem próżnię życia wypełnić, lecz przeciwnie drugich poją swemi myślami — drugim próżnię umieją wypełnić rzucanemi hasłami i drugich wiodą swoim przykładem.

Lecz inni?... A!... tych jest niestety nie mało, po za swoim ja, nie widzą szerszego świata, po za etykietą — ceremonią i szykiem nie znają dalszych granic i po za pracowitem próżnowaniem innych mozołów nie rozumieją

Kilka lekkich książek — parę rozmów o tem, co się zwie niby o niczem, nieco myśli o tem co daleko nie sięga i umysłu nie nuży — a wreszcie nic więcej nad to i pusto jakoś i w sercu ich własnem i w kole ich otoczenia, aż znów bije skarga w niebo: Czem życie wypełnić?...

O matko! .. jakże musi ci być boleśnie, gdy do ucha twego dojdzie kiedyś takie pytanie dziecka dorastającego?

O! jakże ubogo dziecinę swą w tę daleką drogę wyposażyłaś, gdy ono już dziś — nie wie, jak snuć tę przędzę, by była i równa i gładka i czysta i piękna, jak czerpać ze zdroju, by nigdy skwar południa uczuć nie przypalił, ani chłód wieczorny pączków nie zmroził. Słusznie też powiada Kraszewski: — „niech kupcy frymarczą, niech gracze kości rzucają, my wdziewajmy szaty świąteczne, obmywajmy się z prochu“ i idźmy w bieli ducha — myśli i uczuć tam, kędy otwarte są wrota świątyni wielkiej gdzie nam spocząć trzeba i zdać rachunek z tego, cośmy uczynili.

„Życie na zagonie i w pałacu równo upływa i kończy się, a Bóg nie spyta ani *cośmy umieli*, ani *cośmy mieli*, tylko jak *spełniliśmy nasze obowiązki i czem życie wypełniliśmy*“. Więc pomnijmy o tem – nie pytajmy, po co żyjemy? — czem życie umilić, upiększyć, ale mierzmy wielkość i potęgę życia siłą ducha naszego naszych prac naszych celów doniosłych, a wtedy zawołamy słowami poety:

— Nie godzi się umierać duchem — gdy żyjemy ciałem – Tak — wielkie to słowo życie!

Ale też wielkie powinności ciążą na tych, którzy życiem młodem poczynają kierować, wskazywać jego cele i ścieżki, a i o skarbach życia muszą pamiętać Nie dość kształcić umysł dzieciny, nie dość wyrabiać maniery, oswajać ze zwyczajami — i dać byt materyalny zapewniony. Trzeba nauczyć żyć duch, aby nigdy potem człek nie uczuł, iż życie jego jest bezduszne, — że nie wypełnia dostatecznie jego wszystkich kryjówek serca, — że ma we wnętrzu jakąś wielką pustkę i nie wie, co z nią zrobić.

Najpierwszym środkiem zaradczym od uchronienia życia bezdusznego jest wszczepienie w serce uczucia miłości. Kto nauczy swą dziecinę żyć sercem, ten już zapełnił tak jego serce i myśl i duszę, iż nigdy ono potem nie będzie się czuć ubogiem w poczuciu swego istnienia i nie zapyta, jak dziś wielu to czyni — czem życie wypełnić?

O! trzeba umieć żyć i uczyć żyć Wcześnie od lat najmłodszych należy duszę dziecinną naginać ku temu, by była przepełnioną szlachetnemi wrażeniami — ożywioną dążnościami podniosłemi, miłość

miała w sobie zakorzenioną, a będzie życie jej szczęśliwe i nigdy nie zapyta z rozpaczą:

— Co z życiem robić?

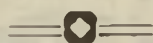
Jadwiga Strokowa.





MODLITWA.

(Preludyum wiosenne).



Na zagonie rodzinnym klękam w pokorze.

I ręce me składam w zachwycie niemym w cichem błaganiu duszy, stęsknionej ciepła i blasków promiennych. co niecą w sercu światła srebrne nadziei i wiary.

I Ciebie błagam, Ciebie, Różana i Jasnolica, Ciebie, Dziewico słońca i lazurów! Pod Twoje stopy kwieciste śle szeptem łzawym modlitwę ducha mojego...

Z krainy czarów, z zieleni gajów odwiecznych przybywasz w purpurze Królewskiej na dolinę senną.

Do serc zbolałych, do dusz wątpiących, co wiarę w Twe blaski straciły. przybywasz, Świetlista, z uśmiechem szczęścia i rozpa-

lasz nad niemi promienistą tęczę przeczuć zaziemskich...

Przybywasz, więc bądź błogosławiona!

Na białej Twej skroni lśni korona barw dyamentowych, co budzą w duszach tajemne błyski snów prześnionych. A szata Twa wonna powiewem bujnym koi przędzę niedoli i cierpienia.

Przybywasz, Radosna, więc bądź błogosławiona!

Więc dłonią hojną Ty rzucaj na niwę złote ziarna nadziei!

I łzą oczu modrych zwilżaj plony słabe, a cieniem szaty osłaniaj przed skwarem bólu i burzy cierpienia Osłoń je, Promienna, by rosły w ciszy i zakwitły kwieciem barwnem.

I z promieni gwieździstych od lazurów Twojego czoła, Ty nastrój lutnię dźwięczną i zabrzmij słowiczemi tony, pieśnią Twej duszy i Twojego serca, hymnem wiosennym nowego życia.

I warkoczem zórz purpurowych Ty utul w uścisku serdecznym lasy i pola, i wody ciche. I pieść je w puchu łabędzim

Twego czaru, i nuć im siebie, by Cię wielbiły na wieki.

Przybywaj, Złocista, i bądź nam błogosławiona.

Jan Zakrzewski.





ZIMA.

Niby potoki łez zamarzniętych,
Po niebie lila jasno-bladem,
Na srebrnych żaglach rozwiniętych,
Maleńkie chmurki płyną stadem.

Lodowym blaskiem gwiazd promienie
Skrzą się nad pola śnieżno-białe
I rozlewają w krąg milczenie
Melancholijne, oniemiałe.

I jakiś pokój dziwnie błogi
Ogarnął śnieżne mgły srebrzyste;
Na senne chaty, pola, drogi
Milczenie padło uroczyste.

I zamilkł wiatr, ucichły szumy
Korony topoli szkieletowej;

Marzenia pełne i zadumy,
W błękity patrzą nieme sowy.

I tylko zdala niespokojne
Słychać huczenie, śmig wiatraka;
I duch ze sobą toczy wojnę
I w nim, śród ciszy, wrzawa taka!

Antoni Lange.





NIE ODCHODŹ!

Wiecznie jestem przy tobie, blizki, czy daleki,
Oddalona, czy blizka, wiecznie jesteś ze
|mną!...
Z twem imieniem się budzę, zamykam powieki,
W snach moich wiecznie widzę główkę
[twoją ciemną.

Twój obraz w mojej duszy bez ustanku gości:
Rano chmurę rozpędza z nad mojego czoła,
Wieczorem z ust dobywa wyrazy miłości
I wszystkie barwy tęczy rozlewa dokoła.

Życie niemało cierni dało mi w udziale,
Na wielu snów czarownych już byłem
[pogrzebie,
Lecz wyrzekać nie będę, dotąd, mój aniele,
Los zawistny mi jednej nie odebrał ciebie...

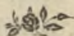
Ty jedna wszystko jesteś zastąpić mi w stanie,
Ty jedna z wszystkich ludzi na szerokim
[świecie —
Dokąd ty jesteś ze mną, o moje kochanie,
Wszędzie dla mnie i wiosna, i szczęście,
[i kwiecie.

Ach, przy tobie jutrzenka nawet się rumieni,
Ziemia cała przecudnych barw setki przy-
[wdziewa,
Słońce więcej wydaje złocistych promieni,
A w duszy szczęście głosem archaniołów
[śpiewa...

Lecz bez ciebie, — czem życie? Męczarnią
[bez końca,
Goryczą i konaniem, i pustką grobową,
Bez nadziei promienia, odrobiny słońca,
Pustką, jakiej określić nie potrafi słowo.

Więc nie odchodź odemnie, mój aniele złoty,
Bo na samą myśl o tem gorzko mi i ciemno,
Bo na samą myśl o tem umieram z tęsknoty,
Pusto, strasznie i ciężko we mnie i prze-
[demną...

Selim.





Pociemku!

(Drobnostka).

Stanowczo Malcia była zakochana.

I to zakochana do szaleństwa.

Wszystkie syptomaty tej strasznej przypadłości, jako to: bezustanne i również bezpodstawne rumieńce, brak apetytu, bezsenność. przypatrywanie się częstsze swojej twarzyczce w zwierciadłach, chowanie się po kątach, dla swobodnego dumania, czytanie poezyj Rossowskiego, skłonność do astronomii, karbowanie i przypalanie grzywki, wstręt do matematyki i geografi, zużywanie większej ilości mydła dla wywabiania plam atramentowych z pa-

luszków, a czasem noska — oto były dostateczne dowody, które Malcię postawiły odrazu w oczach sióstr i przyjaciółek na wysokiem stanowisku... zakochanej panny.

Te dwa słowa miały niemałe znaczenie w wesołej i ruchliwej drużynie dziewcząteк, szeleszczącej od rana do nocy krótkiemi, krochmalnemi spodniczkami i gryzącej wiecznie kredę, ołówki lub inne przysmaki.

Przełożona pensyi miała niemały kłopot z tą całą gromadką. Różnice temperamentów były tam tak silne jak kolory włosów, jak barwa źrenic, otwierających się rano ciekawie i spoglądających z poza białych firanek na światło dzienne z figlarnem zapytaniem, z nigdy nie zaspokojoną chętką poznania... nieznajomego.

Były tam dziewczątka ciemnowłose, czarnookie, o cerze smagłej, rysach ostrych, wysmukłe, pełne samowoli, nieugiętej dumy, szlachetnych instynktów, pragnień nieokreślonych. Te rwały się do pracy, do życia, do samodzielności, jak orły do słońca. Inne znów — blondynki płaskie, o jasnej cerze, różowem ciele, przyjmowały spokojniej wszystkie wra-

żenia, nie gorączkując się zbytecznie; szatynki z czarnemi oczami, rozmarzone, tchnące zdaleka poezyą, błąkały się po salach, kryjąc pod fartuszkami maleńkie książeczki, z których czytały melancholiczne strofy, odbierające im apetyt i przyprawiające o bezsenność.

Na dwóch punktach godziły się przecież wszystkie.

Nie lubiły chleba z powidłami i płonęły chęcią zakochania się w kimkolwiek.

Niewinne ich serca pragnęły miłości, bojąc się jej instynktownie. Czyż jest przecież coś piękniejszego, coś bardziej uroczego, jak ta tęsknota kobieca, to dążenie dziewczęcia do swego przeznaczenia, to rwanie się ćmy do światła, w którem choćby spłonąć miała, a przecież dąży doń, spieszy naoślep — bo tak być musi! tak sądzono!

I dziewczątko marzy, płacze wśród szarej godziny, wpatruje się w gwiazdki i całuje kwiaty...

Śmieszne to, a przecież tak piękne! tak czyste!

Z całego szeregu dziewczątek, szepczących w kącikach lub w cieniach drzew

4*

o miłości, Malcia najpierwsza zrozumiała istotne tego słowa znaczenie.

Był to fakt ważny, doniosły.

Pensya cała wzburzyła się w sposób niezwykły.

Przypatrywano się Malci z podziwem, z szacunkiem prawie, otaczano ją podczas rekreacyi i starano się badać, co myśli, co czuje. Pytano, czy jej serce nie urosło i dziwiono się, że powoli mizernieje. Według nich, miłość powinna nadawać cerze kolor prześcieradła, a całej postaci pozór złamanej brzozy. Malcia uczuła się wprędce bohaterką dnia. Zaczęła odgrywać swą rolę stosownie do okoliczności.

Nie jadła podwieczorku i drugiego śniadania, a pokryjomu zapychała się figami i chlebem swiętojańskim. Udawała, że szuka samotności i wznosiła często oczy ku niebu. W nocy wzdychała ciężko, a nawet nosiła się z myślą zemdlenia kiedykolwiek, dla wzbudzenia sensacyi. Będąc okrągłą, pulchną szatynką, pragnęła zeszczupleć do możliwych granic. Piła ocet i kwas ogórkowy, który jej sprawiał dotkliwe boleści. Wszystkie jednak oczy były na nią zwrócone, nie mogła cofać się lub

zadawać kłam głosom, jakie koło niej krążyły:

— Malcia się kocha! Malcia zakochana!

I był to jeden wielki szept mniejszych i większych kobietek, szept, krążący wzdłuż ławek, czepiający się tablic, rajzbretów, wymykający się z podnoszonych pulpitów, skrzypiący w pociągnięciu kredą, mięszający się do pacierzy wieczornych, odmawianych u stóp Maryi wznoszącej swe białe, nieskalane linie wśród półcienia pensyonarskiej sypialni.

I jeszcze drobne, małe główki, pokryte białemi czepeczkami. kręciły się niespokojnie wśród nocnej ciszy, budzone ze snu echem tego szeptu, który dzień cały drżał w przestrzeni:

— Malcia zakochana!

Na pensyi, wzorowo strzeżonej z trudnością wielką, stał się fakt podobnego rodzaju. Ale dziewczęta! – ach! miły Boże! któż je od miłości ochronić potrafi?

W tym samym domu mieszkali studenci...

Voila le mot de l'enigme.

Mieszkali dopiero od dwóch tygodni.

Siedzieli jednak po całych dniach w oknie i pilnie wpatrywali się w białe firaneczki, poza któremi kręciły się jasnowłose lub ciemne główki.

Panienki uchyliły firaneczki — studenci posłali cały grad zabójczych spojrzeń.

Na drugi dzień zasypali okna pensyi deszczem fijołków i jaśminu.

Panienki, uszczęśliwione, nie zrobiły dnia tego zwykłego alarmu o kompot ze śliwek, który bywał w innych okolicznościach powodem buntu całej pensyi.

Powoli sytuacya się wyjaśniła.

Studenci, znudzeni, cofnęli się ze stanowiska: pozostał tylko jeden wytrwały, kierujący swe uczucia ku... Malci.

Dziewczątko, jak muszka na lep, dało się złapać w zastawione siatki. Student był ładnym chłopcem, mającym najwyżej szesnaście lat, jasne kręcone włosy i błękitny krawat.

Od tej chwili Malcia zaczęła nosić błękitne wstążki u warkoczów i długie lejce, spadające z pod kołnierzyka. Nazywało się to kokieteryjnie: *„Suivez moi“!*

Niewinny ten romansik trwał kilka letnich tygodni. Zamieniano spojrzenia,

uśmieszki, zwracano się profilem, *en face,* posyłano sobie nieme wyznania na promieniach słońca, które jasno świeciło, śmiejąc się z tej miłości dziecięcej, nieśmiałej, zarumienionej, jak zorza poranna.

Rzecz cała przeszłaby bez żadnych następstw, gdyby nie szatanek w osobie panny Olgi Hałasiewicz, przyjaciółki Malci.

Panna Olga Hałasiewicz, słusznie w ten sposób przezwana przez swoje koleżanki, była postrachem całej pensyi. Wysoka, czternastoletnia dziewczyna, chuda, czarna, o włosach krótkich, sterczących w dziwacznych kosmykach, kręciła się cały dzień po lokalu pensyjnym, napełniając go dzikiemi krzykami, które wydawała, i wrzawą swych pomysłów, jakie co chwila rodziły się w jej rozbujałej fantazyi. Mołdawianka, a więc rozwinięta wcześniej od innych dziewcząt, tak fizycznie, jak umysłowo, objęła w jednej chwili ster rządów i zamianowała się naczelnym wodzem wszystkich panien. Ona to cofała zegary, wlewała atrament do kapeluszy profesorów i przywiązywała do krzeseł koleżanki, drzemiące na lekcyach, lub or-

ganizowała bunty z wprawą renomowanych spiskowców. Żądna wrażeń i niezwykłych przygód, zachwyciła się wiadomością o zakochaniu się Malci.

Dawszy swą aprobatę, gorliwie zajęła się zakochanymi. Zaczerwieniona z rozczochraną głową, stała na straży koło okna, aby w razie nadejścia przełożonej lub damy klasowej, ostrzedz Malcię o niebezpieczeństwie.

Dobre jej chęci odniosły wręcz przeciwny skutek.

Nie mając już komu zwierzyć się z tajemnicą, dotyczącą swej przyjaciółki, pod najwyższym sekretem wyznała wszystko pannie Delfousse, sentymentalnej nauczycielce literatury francuzkiej, która, posłyszawszy, co się święci, porwała ze stołu nieodstępnego Larouss'a i pobiegła uwiadomić przełożoną.

Ta ostatnia przywołała Malcię i odbyła się konferencya przy drzwiach zamkniętych.

Malcia wyszła z niej zapłakana, a okna, wychodzące na dziedziniec, zamknięto i zamalowano białą, nieprzepuszczającą zewnętrznych obrazów kompozycyą.

Wzburzenie wszystkich pensyonarek doszło do punktu kulminacyjnego.

Miłość z przeszkodami!

Malcia z bohaterki przemieniła się w męczennicę. Litowano się nad jej złamanem życiem, nad zdruzgotanem sercem, pisano wiersze na cześć tego uczucia, poprzysięgając zemstę tyranom. Panna Delfousse doznała błogich skutków tej zemsty, znalazłszy pewnego wieczoru żywego raka w swem łóżku. Poszukiwano nawet żaby, aby z niej uczynić podobny użytek, ale z powodów niezależnych żaba nie mogła objąć tak zaszczytnej roli i rak pomścił sowicie złamaną miłość Malci i studenta.

Olga Hałasiewicz była w rozpaczy.

Upadłszy na kolana, wyrwała sobie przedewszystkiem pęk włosów, rozdarła na wzór starożytnych niewiast – szatę, a właściwie fartuch, poczem, zalewając się łzami, wyznała Malci swą winę. Przez nią to bowiem przełożona dowiedziała się o wszystkiem.

Malcia, pełna melancholii, uśmiechnęła się smutnie i dobrotliwie uspakajała przyjaciółkę Ta szlachetność Malci przyprowa-

dziła Olgę do ostateczności; postanowiła złe naprawić i... dopięła celu.

Zapomocą pieniężnych datków omyliła czujność przełożonej i guwernantek i zawiązała korespondencyę z wielbicielem Malci.

Pieniądz — to rzecz niezmiernie ponętna, a kucharki i pokojowe pensyonatów żeńskich nie są ukute ze stali.

Mimo to jednak sprawa znów się wydała.

Przełożona podwoiła straż i napisała do rodziców Malci i Olgi Hałasiewicz.

Malcia zbladła ze strachu, dowiedziawszy się o tym fakcie. Hałasiewiczówna, przeciwnie, rozwinęła dopiero teraz całą energię.

Między nami mówiąc Malcia była bardzo znużona rolą, która jej przypadła w udziale. To ciągłe pozowanie na ofiarę, przymusowa powaga i melancholia, dobrowolny głód, a raczej post, zmęczyły biedne dziecko, zdrowe, uśmiechnięte, pełne życia i wesołości. Chwilowa dziecinna fantazya przeminęła, pozostał więc niesmak i gwałtowna chęć wypoczynku po tylu przeżytych wrażeniach...

Ale napróżno! tak łatwo nie można abdykować z podobnego dostojeństwa. Olga, zgorączkowana, rozczochrana, z sukniami w nieładzie, biegała po całym lokalu. zawracając oczami i uśmiechając się złośliwie na widok granatowej sukni panny Delfousse, lub *grisperle* samej przełożonej. Odbywała długie konferencye z koleżankami a Malci rzucała w przelocie te słowa:

— Odwagi! będziecie szczęśliwi!

Malcia opuszczała głowę na pulpit, aby ukryć łzy, cisnące się jej do oczów. Biedne dziecko, przygniecione ciężarem wielkości wmawianego w nią uczucia, nie miało odwagi zaoponować i wobec wszystkich koleżanek zawołać: „Dajcie mi spokój! przestałam się kochać!...“

Cierpiała więc... *pro honore domus.*

Nakoniec — w kilka dni po opisanych wypadkach, Olga Hałasiewicz, wbrew swemu zwyczajowi. zaczęła chodzić na palcach, przestała trzaskać drzwiami i raz jeden tylko położyła zmoczoną gąbkę na krześle profesora historyi naturalnej. Miała minę niezmiernie tajemniczą, ale dochowywała tajemnicy, nie zwierzając się nikomu Pewnego letniego ranka wsunęła się

cichutko do gabineciku, przylegającego do sypialni przełożonej. Tam, z rozkazu najwyższej władzy, przebywała teraz najczęściej Malcia, szczególniej podczas rekreacyi. I teraz biedna ofiara miłości siedziała samotnie, skubiąc jakąś patarafkę i spoglądając z żalem w okna, poza któremi świeciło słońce, szumiały drzewa małego ogródka i dobiegały śmiechy wesoło bawiących się, niezakochanych panienek.

Malcię dławily łzy nie na żarty. Czuła że lada chwila wybuchnie płaczem spazmatycznym, tak ją trawiła tęsknota za swobodą dziecięcą.

Tymczasem z sypialni przełożonej dolatywał szmer przewracanych kartek i szelest jedwabnej sukni samej Madame, czytającej w tej chwili jakieś dzieło pedagogicznej treści.

Olga Hałasiewicz nie traciła czasu.

Przysunąwszy się do przyjaciółki, szepnęła cicho w różowe uszko Malci:

— Wszystko przygotowane.

Malcia podniosła główkę.

— Do czego?

— Do naszej ucieczki!

Malcia zbladła i porwała się z miejsca.

Ale Olga szybko i zwięźle wyłożyła jej plan cały.

Porozumieć się muszą prędko, bo później Olga wróci do klasy i nie znajdzie dobrej sposobności. Stanowcza chwila oznaczona dziś w nocy. Wszystko przygotowane. O północy zamówiona kareta czeka opodal, student zaś, chodząc koło domu, połączy się z niemi, aby już nie opuścić więcej swej ubóstwianej. Muszą uciekać!— innego wyjścia z tej sprawy nie ma. Olga im będzie towarzyszyć w roli matki i opiekunki.

— Nie pójdę już za mąż — szepce sentymentalnie, — poprowadzę cię do ołtarza, a potem zajmę się wychowaniem twych córek! Poświęcę się dla was!

Malcia drży cała jak w febrze.

Uciekać? po co? dlaczego? — ona nie chce, przeraża ją ta myśl. Ale Olga przekonywa ją o smutnej konieczności. Przedstawia jej gniew rodziców, wzgardę świata, który odwróci się od panny, wplątanej w podobną skandaliczną sprawę, nienaprawioną... małżeństwem!

— Moja droga! będziesz zgubioną, jeśli się oprzesz moim rozsądnym radom. Wierz mi, nikt ci ręki nie poda!

Malcia ze łzami poddaje się tej konieczności.

Ma minę prowadzonej na rzeź ofiary.

Olga, zgorączkowana, cała przejęta swym projektem, który ją animuje w niezwykły sposób, przyklęka na ziemi i szepcąc, opowiada całą marszrutę.

— O północy wstaniemy obie i, zabrawszy, co mamy kosztowniejszego, zejdziemy cichutko do kuchni przez klasy, które nie będą tego dnia na klucz zamknięte, dla tej prostej przyczyny, że sama klucze powyciągam. W kuchni jest przez sień prosto zejście do piwnicy, której okienko niezakratowane wychodzi na ulicę Przez to okienko wydostaniemy się na wolność i połączymy się z twoim narzeczonym. Zaleciłam mu, aby kupił świeżej szynki i masła. My bułeczki schowamy od kawy i herbaty. Jeśli można, schowaj dziś kotlet z obiadu, bo jeść się będzie w drodze chciało. Wezmę ze sobą także talię kart, ażebyś w drodze mogła ze swym mężem grać w „wózka“... On zapewne zna tę grę, bo wydaje mi się wcale inteligentnym chłopakiem!...

Malcia siedzi cicho, tylko nerwowe dreszcze wstrząsają nią całą. Ta ucieczka,

wbrew jej woli, a tak konieczna, jak zbawienie duszy, spadła na nią, jak uderzenie gromu. W nocy schodzić do piwnicy, gdzie może są żaby, albo trupie głowy! Och! Malcia jeszcze nigdy w piwnicy nie była To musi być coś strasznego — coś podobnego do grobu.

— Świecy nie biorę, bo mogłoby się wydać... musimy zejść do piwnicy pociemku...

Nagle krzyk Malci przerywa szept Olgi.

— Jakto? pociemku? ja nie chcę!... ja się boję!. .

I całe rozdrażnienie nerwowe wybucha w tym płaczu dziecięcym, który sympatycznem łkaniem napełnia maluchny pokoik.

Przełożona rzuca pedagogiczne dzieło i jest tuż przy Malci.

Biedna „zakochana panna" tuli się do Madame, jak małe dzieciątko, i drżąc cała, powtarza wśród łez:

— Pociemku! nie chcę! boję się! boję się!...

Sytuacya się wyjaśnia.

Plan ucieczki wykryto — student zmienił mieszkanie, a Malcię ocaliła od fałszywego kroku wiadomość, że pociemku musi przebyć drogę do szczęścia. Olga Hałasiewicz w zbytniej gorliwości zapomniała, że Malcia przedewszystkiem boi się... ciemności.

Gabryela Zapolska.





WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK.



Wlazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosneczka, nie długa!

Nad srebrnym ruczajem u wzgórza,
Gdzie brzoza pochyla się biała,
Zosienka tak piękna, jak róża,
Na chłopca za płotkiem mrugała.
Niby to szukała stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga,
Lecz oczka jej biegły za płotek:
Wlazł kotek na płotek i mruga!

A chłopiec, a piękny, a hoży!
Wzrok jego do głębi przenika,
Na licu mu igra brzask zorzy,
I patrzy i kręci wąsika.
Na rozkaz tak ślicznych szczebiotek
Wszak każdy posłuszny, jak sługa, —
Więc chłopiec przesadza opłotek...
Wlazł kotek na płotek i mruga!

Już przy niej, już gwarzy i ściska!
Ej, z chłopca to istna pokusa...
— „Daj pokój, bo patrzą ludziska,
„Daj pokój!.. — Ba, ukradł całusa!
— „To cały kot z niego nie kotek,
„Lecz ze mną rozprawa nie długa:
„A ruszaj-że sobie za płotek!..“
Wlazł kotek na płotek i mruga!

I poszedł, skąd przyszedł, chłopczyna...
A czemu kradł całus, jak złodziej?
Ba, ale figlarna dziewczyna
Jak dawniej, na wzgórze przychodzi.
I niby to szuka stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga,
Lecz oczka jej biegną za płotek...
Wlazł kotek na płotek i mruga!

Wł. Bełza.



WYZNANIE.

Czy ty pamiętasz tę słoneczną chwilę,
Gdy na mych ustach marły ciche słowa?
Czy ty pamiętasz, gdym chciał wyznać tyle,
A nieposłuszna odbiegła mnie mowa?

Czy kwiat twych uczuć spoczywa już w pyle?
Czy fala czasu zimna a surowa
W twojej pamięci zatarła tę chwilę,
Co dla mnie żyje zawsze piękna, nowa?

Czy ty pamiętasz? Myśmy w marzeń niebie
Wyznali wszystko mową ócz płonących,
Śniąc, że pójdziemy w świat po róż kobiercu...

Czy ty pamiętasz słowo: „kocham ciebie!"
Wtedy na ustach mych skonało drżących...
Dzisiaj to słowo wiecznie łka — w mem sercu...

Or-oł.



KWIAT ALOESU.

Nowella Exterusa.

(Kobieto! ułomność imię twoje...)
Szekspir.

Mamusiu czy pan Kazimierz przyjdzie dzisiaj na pewno?

— Nie wiem, moje dziecko; napisał, że jeśli mu tylko siły pozwolą, to przyjdzie.

Ach, jak to dobrze!

Ostatnie wyrazy były wymówione półgłosem, ale brzmiało w nich zadowolenie i prócz tego coś, co się bliżej określić nie da, ale co prawdopodobnie zrobiłoby przyjemność owemu panu Kazimierzowi, gdyby był usłyszał ten cichy okrzyk.

Pokój, w którym prowadzono powyższą rozmowę, był obszerny i robił wrażenie tego właśnie, co Niemcy określają wyrazem: „ge-

müthlich". Ściany były obciągnięte pięknem obiciem, naśladującem błękit nieba, nabity gwiazdami, posadzkę pokrywał olbrzymi dywan, miękkie meble, poustawiane małemi grupami, zachęcały do wypoczynku i poufnej pogawędki, a błękitna ampla rzucała księżycowe blaski na polne róże i rumiany kanapek, nadawała barwę chryzolitów liściom palm, dracen i paproci i usposabiała do zadumy.

W rogu pokoju, przed wysokiem lustrem, na którego gładką szybę padał blask od zapalonego kandelabru, podtrzymywanego przez alabastrową Hebę, młoda panienka poprawiała bertę przy staniku i przypinała kwiaty. Lustro odbijało wiernie jej białą cerę, jasne włosy, odrzucone z nizkiego czoła i upięte z tyłu głowy w zgrabny węzeł, i szafirowe oczy, ozdobione długiemi i do góry podwijanemi rzęsami, co je czyniło podobnemi do oczu zdziwionego dziecka lub do oczu dzikiej kozy, gdy uczepiona u skały, patrzy ciekawie na wschodzące słońce.

Z odkrytą szyją, w białym oparze gazy, dziewczyna wyglądała, jak narcyz i powinna była być wdzięczną zwierciadłu, które bez żadnej dyplomacyi mówiło jej: „Jesteś piękna" — a tymczasem w oczach nie było nic więcej, prócz ciekawości i zdziwienia. Stała obojętnie,

i przypinała do stanika żółte róże, a choć po okrzyku: „Ach, jak to dobrze“! — w źrenicach jej coś zamigotało, — to coś może znowu zrobiłoby przyjemność panu Kazimierzowi, — ale nie wyrażało dla zwierciadła wdzięczności wcale.

Za to dama, siedząca w cieniu palmy na kanapce i przyglądająca się panience wzrokiem badawczem, miała w oczach i na ustach uśmiech, którego tamtej brakowało. Był to uśmiech zadowolenia i dumy, uśmiech generała, robiącego przegląd armii w wilię głównego ataku i z tej armii zupełnie zadowolonego.

Wtem na tle błękitnej portyery ukazała się druga panienka. Była także w sukience z białej gazy i miała żółte róże u gorsu, ale tej włosy były ciemniejsze, a czarne oczy patrzały przed siebie nie z wyrazem ciekawego dziecka, lecz kobiety, zdającej sobie sprawę z potęgi swego spojrzenia.

— Wszystko w porządku, mamusiu, — rzekła, stając obok siostry i spoglądając na zwierciadło z zadowoleniem — nawet muzyka już jest.

— To dobrze — odparła matka; — niezadługo zaczną się zjeżdżać, a teraz pokażcie mi się obie.

Panienki wzięły się za ręce i stanęły przed poważną damą, odzianą w złocisty jedwab. Jedna patrzała na matkę z uśmiechem, druga ze zwykłym wyrazem zdziwienia, a poważna dama, zrobiwszy szczegółowy przegląd toalet i wyglądu tej armii, gotowej do ataku, rzekła:

— Jestem z was zadowolona, a po dzisiejszym wieczorze, da Bóg, będę zupełnie szczęśliwa. Udały się Adeli te suknie, ale najważniejsza, że wam w nich dobrze. Wiesz, Aniu, na balu kostyumowym niektóre panie już mi składały powinszowania, naturalnie przedwczesne, ale dziś, jak myślisz?... czy pan Adam?...

— O! niech mamusia będzie zupełnie spokojna, — odrzekła panienka ciemno-włosa — gdybym była chciała, byłby mi się już dawno oświadczył, ale jeśli jest się czego pewnym, dlaczego się nie podrożyć? Jeszczeby może pomyślał, że mi robi łaskę?

— Zapewne, można się podrożyć, byle nie zanadto — zauważyła matka.

— O! ja wiem, i dlatego postanowiłam więcej go już nie dręczyć. Wie mamusia, on powiedział, że gdy się ożeni, powiezie żonę za granicę.

Szafirowe oczy blondynki zatrzymały się na twarzy siostry.

— To ty się z tego tak cieszysz, Aniu?

— A naturalnie: widziałaś Rzym? widziałaś Paryż?

— Nie widziałam, ale nie miałabym przyjemności oglądać tych cudów w towarzystwie starego, grubego i do tego zupełnie obcego pana. Za nic w świecie nie pojechałabym tak daleko, sama, z panem Adamem, albo z panem Arturem, brr... aż się zimno robi!

Matka zmarszczyła brwi i z niezadowoleniem popatrzała na młodszą córkę.

— Jesteś nierozsądna, Wandziu, i przytem złośliwa — rzekła. — Przedewszystkiem pan Adam nie jest wcale stary i nie ma więcej, jak czterdzieści lat, a że trochę tęgi, to przy innych przymiotach łatwo mu wybaczyć. Na męża nie szuka się ładnego, tylko dobrego, pamiętaj o tem; uroda, to dodatek, wprawdzie miły, ale nie konieczny. Podróż poślubna za granicę należy do najprzyjemniejszych rzeczy, a to, co ty mówisz, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałem.

— A ona ciągle mi wymawia okrągłą figurę i grube palce pana Adama, i wszystko dlatego, że udało się jej złapać ładnego pana Artura — skarżyła się panna Ania, patrząc

na siostrę z ogromnem oburzeniem. — Ona łapie mężczyzn zupełnie tak samo, jak koty: wprawiła się!

Jasnowłosa panienka zaczerwieniła się, jak purpurowy gwoździk, a zwróciwszy na siostrę oczy, które w jednej chwili zaszły łzami, zawołała z równem oburzeniem:

— Nieprawda!... nie łapię nikogo! Mój kot sam się do mnie przyczepił na Święto-Krzyskiej, a gdybyś widziała, jak był pokaleczony przez psy, to byłabyś także zabrała go z sobą.

— Cicho, nie sprzeczajcie się, bo to dowód złego wychowania, — godziła zwaśnione córki matka. — Nie lubię, gdy używacie trywialnych wyrażeń. Żadna z przyzwoitego domu panienka nie łapie sobie męża i pozostawia to pokojówkom, co zaś do panów Adama i Artura, myślę, że obie zrobiłyście dobry wybór i że dziś powinnyście się trochę postarać, aby losy tych panów się rozstrzygnęły. Pamiętajcie, że posagów nie macie. Jeśli wam dam porządne wyprawy, zaledwie tyle mi pozostanie, że nie będziecie potrzebowały zabierać mię do siebie. Posag w osobie matki nie jest przyjemny ani dla córek, ani dla zięciów, nie zapominajcie o tem.

Podniosła się i majestatycznie przeszła do przyległego salonu.

Panna Ania stanęła przed lustrem, panna Wandzia zaś przeprowadziła wzrokiem matkę, a potem wsunęła się za klomb paproci, oparła czoło o szybę i patrzała w ogród. Szron pokrył koronkowym puchem nagie gałęzie drzew, księżyc pokładł na białym obrusie śniegu dużo jasnych smug obok długich, szafirowych cieni i rozsypał gdzie mógł wielką mcc srebrnych ogników; panowała w tym zakątku wielko miejskim cisza i spokój.

Panna Wanda patrzała w jasną noc, snuła różne myśli, niby nici z różnokolorowego kłębka, i co chwila powracała do najpierwszej, upartej, jak mucha, która się nie daje wypędzić z pokoju, niepokojącej, jak włosek kaktusa, gdy utkwi w palcu, choć niewidoczny, ciągle o swojej obecności przypomina ledwie uczuwanem ukłóciem.

— Czy on mię kocha? czy ja go kocham? Ania jest pewna, że ją pan Adam kccha, ale ja? Po czemby to można poznać, boć poznać trzeba... Małżeństwo — to już na całe życie. Na całe życie!... Pan Artur we fraku albo w tużurku, to właśnie ten, który ma mię zabrać na zawsze — ale fraki i tużurki są jednakowe, wszystkie mówią to samo, albo raczej nic nie mówią. Jeśli mię wybiera ze wszystkich, to może kocha, ale za co kocha, kiedy nie wie,

kto ja jestem? Tak naprawdę, to nikt pewno nie wie, kto ja jestem, nikt, tylko ja sama... a może nawet i ja sama siebie nie znam?... napewno nie wiem, czy jestem zła, czy dobra. Tu w Warszawie deszcz pada i kiedy na ulicach leży błoto, jestem zła z pewnością, a na wsi, szczególniej na wiosnę, gdy się drzewa zaczynają rozwijać, gdy słońce zagląda mi w oczy ciepło, i serdecznie, gdy skowronek zacznie do mnie śpiewać i leci coraz, coraz wyżej, jestem dobra i kocham wszystkich ludzi, wszystkie, wszystkie zwierzęta i las, i łąkę, i zagony choć czarne i rozmiękłe, i rowy choć pełne błota i choć jeszcze niezapominajek nie ma... Czy też on mię kocha? a jeśli kocha, czy za to, że jestem zła, czy za to, że jestem dobra, czy za to, że jestem ładna?...

Wanda nie zdążyła rozwiązać zagadki, gdy w przedpokoju dzwonek zadźwięczał raz, drugi i trzeci i potem brzmiał już ciągle, a z salonu zaczął dochodzić gwar coraz większy i śmiechy coraz głośniejsze. Więc wyszła ze swego ukrycia, chwilę stała na środku pokoju, a potem szepnęła: „Niech się stanie, co się ma stać" — i zrobiwszy na czole i piersiach szybki znak krzyża, wybiegła.

W salonie, na tle malinowych obić i złoceń, wśród morza światła, przeglądającego się

w lśniącej posadzce, w źwierciadłach i w kryształach, oddających w zamian ognie rubinów i opalów, snuły się lśniąco-pióre kolibry — kobiety, i czarne jaskółki — mężczyźni. Gdy Wanda ukazała się we drzwiach, z gromadki mężczyzn wysunął się wysoki, zgrabny brunet. Kołyszącym się, lekko niedbałym krokiem zbliżył się do panienki, i składając przed nią ukłon głęboki, rzekł:

— Pierwszy walc i pierwszy kontredans do mnie należą? prawda, panno Wando?

A ona utkwiła w niego oczy, patrzała tak chwilę i wreszcie zasmuconym głosem, w którym brzmiał jakby zawód, rzuciwszy: — „Dobrze“.. — pośpieszyła na środek pokoju i wmieszała się w tłum gości.

Bal się rozpoczął, pary wirowały przy dźwiękach walca, uśmiechy wykwitały na ustach, z piersi ulatywały westchnienia, wywołane zmęczeniem lub rozmarzeniem. Któż jest w stanie opisać atmosferę balową tak, by zadowolić wszystkich, kiedy ona dla jednych jest wyobrażeniem tłoku, duszności, gorąca, nudnie powtarzanych i usypiających monotonnością melodyi, wyobrażeniem gromady waryatów, czy starych dzieci, chwytających się wpół tylko po to, aby szalonymi skokami zmęczyć nogi i pozbawić się równowagi od-

dechu; — kiedy dla drugich ona jest areną, a raczej giełdą, na której się nabywa i sprzedaje posagi, renty, kapitały, a niekiedy nawet dusze i serca ludzkie, a dla jeszcze innych opalową chwilą, odkradzioną prozie życia, zapomnieniem, upojeniem, poezyą, szałem.

Panna Wanda, unoszona ramieniem młodego bruneta, płynęła wokoło wielkiego salonu i była podobną do białego kwiatu. Lubiła walca, a pan Artur był mistrzem tego tańca namiętności. Jego ruchy były wolne, kołyszące, jakby senne, ale w miarę pochłanianej przestrzeni, ich rytm, nieznacznie przyśpieszany, przechodził w szybszy, coraz szybszy — szalony, a wtedy ramię, okalające kibić tancerki, lekko i pieściwie zacieśniało się, tuliło do siebie miękko, lecz coraz silniej, wreszcie porywało ją w jakiś odmęt zawrotny, namiętny, na łaskę i niełaskę, aż salon, światła, tony muzyki, on i ona zleli się w jedną całość, w jedną zapamiętałą pieśń uniesienia — zwaną walcem.

— Cudownie tańczą!... ładna para! — powtarzano wokoło, gdy pan Artur się zatrzymał i podtrzymując ramieniem odurzoną Wandę, prowadził ją do wolnego krzesła.

Usiadła, chwilę patrzała nieprzytomnie wprost przed siebie, a potem westchnęła i rzu-

ciła przymglonym wzrokiem na prawo i na lewo. Na prawo, jakiś młodzieniec uprowadzał panienkę w niebieskiej sukience, na lewo patrzały na nią poważne oczy... Zaledwie panna Wanda spojrzała na lewo, szybkim ruchem podniosła paluszki do oczu i przetarła je, a potem obie ręce wyciągnęła do przypadkowego sąsiada i zawołała z nieukrywaną radością:

— Pan Kazimierz!

Uścisnęli się za ręce, jak dobrzy przyjaciele, poczem panienka utkwiła oczy w twarzy młodzieńca i patrzała na niego uważnie. W tym dziecinnym wzroku można było czytać, jak w otwartej książce. Najpierw jaśniała w nim radość, potem przeleciały jakieś smutne myśli, a w końcu wyjrzało tyle współczucia, że młodzian powtórnie wyciągnął do niej rękę, i choć milczała, on, jakby w odpowiedzi na bardzo serdeczne wyrazy, rzekł:

— Dziękuję pani.

Porwano ją znowu do walca, ale po chwili Wanda siedziała na dawnem miejscu, odmawiała niecierpliwie wszystkim tancerzom i mówiła do sąsiada:

— Nie masz pan pojęcia, jak się ucieszyłam, gdy nam dziś przyniesiono list pański! Wiedziałam, że pan bardzo chory, i byłabym

dała wiele, och! nikt nawet nie wiedział, jak wiele, żeby mię zaprowadzono do pana. Mama ani razu nie chciała mnie wziąć z sobą, choć raz się nawet spłakałam. Mój Boże, czyż w takiem wielkiem nieszczęściu powinno się pamiętać co wypada, a co nie wypada?... Pan przecież był zawsze dla nas jakby bratem, a ja prócz tego czułam, że dla chorego to byłaby przyjemność... prawda?

Pan Kazimierz słuchał tej mowy serdecznej z niejakiem zdziwieniem, a gdy panna Wanda przestała mówić, rzekł poważnie, raczej do własnych myśli, niż do niej:

— Bardzo się pani przez ten rok zmieniła, ale poczciwe serce dziwacznego dziecka z Olszówki pozostało to samo. Czy naprawdę rok życia, spędzony w cieplarni konwenansów i sztucznych uczuć, nic na panią nie wpłynął?

Panna Wanda się zarumieniła.

— O, wpłynął — odparła. — Jestem przecież panną na wydaniu, a na wsi nie wiedziałam nawet, że taki fach istnieje. Teraz umiem rozróżnić, co wypada, a co nie wypada, czem można ująć mężczyznę, a czem zrazić, w czem mi do twarzy, a w czem mi brzydko... tylko zapominam się chwilami, a gdy pana zobaczyłam, przypomniały mi się dawne czasy i zu-

pełnie wyszłam z roli. Czemu te dawne czasy minęły?... szkoda, prawda?

— Szkoda — powtórzył pan Kazimierz, jak echo, i ciągle patrzał na sąsiadkę. — Ale.. jakże pani może żałować tych czasów? pani, taka piękna, taka podobno uwielbiana?... czy to szczere, panno Wando?

Wanda zarumieniła się jeszcze bardziej i odparła ze smutkiem w głosie:

— Myślałam, żeś pan lepszy od innych; cieszyłam się, że pomówimy z sobą szczerze i poczciwie, a tymczasem... widocznie wszyscy mężczyźni są już jednakowi. Piękna, piękna, zawsze tylko piękna! Gdy byłam malutka i mówiono o mnie: — „Ładne dziecko!“ — tatko zawsze mię wtedy gładził po głowie i poprawiał tych, którzy chwalili: — „Nie ładne, tylko grzeczne; prawda, Dziuniu? Ładne mówi się tylko o pieskach, bo pieski nie mogą się zdobyć na nic lepszego“. Otóż teraz, ile razy tylko mówi mi kto: ładna, śliczna, prześliczna — zawsze, choćbym nawet nie chciała, przypominają mi się słowa tatki, i doznaję wrażenia, jakbym była pieskiem, albo papugą. Panie Kazimierzu, czyż naprawdę kobieta ma tylko tyle wartości dla mężczyzny, ile jest piękną?.. Tu nikt się nie stara poznać, czy ja mam duszę i jaką. Nikogo nie obchodzi, nawet mamę, czem

ja właściwie jestem, czego pragnę, co kocham. Ładna — to już dosyć. I... tylko proszę, słuchaj pan uważnie — przecież gdy w Olszówce wpadłam do stawu, wskoczyłeś za mną do wody, choć miałeś febrę, więc chyba mię lubisz?... — otóż, uważaj pan. Tam nikt nie mówił, że jestem ładna, a wszyscy mię kochali: tatko, mama, Ania, stara Krupecka, niania, kulawy Ignac, wszystkie umorusane dzieciaki, wszystkie koty i psy, i ja wyobraziłam sobie, że świat tylko po to istnieje, żeby na nim wszyscy byli dobrzy i żeby się wszyscy kochali. Czy pan pamięta starą nianię Agatę?... Otóż ona mi raz opowiedziała taką bajkę: Gdy Pan Bóg stworzył ludzi, to potem się okazało, że miał za mało dusz. Była wielka narada, co tu zrobić, ale jeden z aniołów wyprowadził Pana Boga z kłopotu. Wszystkie dusze porozcinano na połowy mieczem świętego Michała, i dopiero wtedy aniołowie porozdawali je ludziom. Jeśli jedną pół-duszę dostał mężczyzna, to drugą z tej samej duszy dostawała kobieta. Potem wszyscy się pomięszali, porozchodzili po świecie, i teraz każda kobieta szuka tego mężczyzny, który zabrał połowę jej duszy, i naodwrót: każdy mężczyzna poszukuje kobiety, która gdzieś na szerokim świecie wędruje z jego połową. Jeśli zejdą się właściwe

pół-dusze, to muszą się kochać, choćby nie chciały, a jeśli się stanie przeciwnie, wtedy kojarzą się niedobrane małżeństwa. Prawda, że niektóre bajki są mądrością narodów?... a ta jest taka ładna!... Ale powiedz pan teraz, czy ludzie, którzy mają iść razem przez całe życie, nie powinni się starać poznać własnej duszy? Tu o tem nikt nie myśli. O pannach mówią tylko: „ładna", albo: „dobrze ułożona" – zupełnie jak piesek albo małpka — i, jeśli się nie ma posagu, uroda jest patentem dla kobiety. O brzydkie nikt nie dba, choć mnie się zdaje, że one są lepsze od ładnych. To wszystko jest bardzo smutne, i dlatego mnie tak straszno wybierać sobie męża. Sama nie wiem, kogo kocham, i nie wiem także, kto mnie kocha, a gdy pomyślę, że może przez całe życie będzie mi zimno i ciemno, to się strasznie boję..

Kazimierz siedział ze schyloną głową, zdawał się nie słyszeć tego pół-głośnego szczebiotu i milczał, chociaż Wanda już od chwili przestała mówić i oczyma szukała na jego twarzy odpowiedzi, mającej rozwiązać niepokojącą ją zagadkę.

— Panie Kazimierzu, — zaczęła znowu i nachylając się, próbowała spotkać się z jego wzrokiem — powiedz mi koniecznie, po czem

się poznaje miłość, ale powiedz dziś, teraz... Mama pragnie, żebym dziś dała stanowczą odpowiedź panu Arturowi, a ja nic — nic nie wiem i boję się.

W powietrzu zabrzmiała pobudka do kontredansa, czarne jaskółki i barwiste kolibry poczęły się dobierać parami, salon zamieniał się powoli w mieniącą wstęgę o kolorach białych, różowych, błękitnych, żółtych, aż zajaśniał tęczą, przetykaną czarnemi plamami fraków. Pan Kazimierz podniósł głowę, wilgotny wzrok skierował na twarz panienki i rzekł cicho:

— Dziękuję ci, Wandziu... panno Wando, za zaufanie, dziękuję z głębi duszy, ale nic nie mogę poradzić Radź się swego serca, tylko serca, więcej nikogo.

— Służę pani!

Panna Wanda odeszła, uprowadzona przez pana Artura; pan Kazimierz powiódł za nią wzrokiem, i już ten jego wzrok towarzyszył jej we wszystkich zawiłych obrotach kontredansa.

Jakie to dziwne, że on dopiero teraz zajrzał w samą głąb tego kryształowego serca! Przecież znał pannę Wandę bardzo dawno, często się śmiał z jej zabawnych uwag i zapytań i nieraz bawił się jej naiwną ufnością

i wiarą we wszystko, co mówił on — pan Kazimierz. Jaka ona teraz ładna! Z dziecka wyrosła dziewica, pełna powabów i ponęt, a on dziś dopiero to spostrzegł!... Ale oczy zawsze ciekawe, pozostały te same. Śliczne oczy... widocznie jest prawdą, że one właśnie są źwierciadłem duszy, bo jej dusza nie zmieniła się i oczy także się nie zmieniły. Czy też Artur umie w nich czytać? Zabawne pytanie! przecież twierdził zawsze i — może miał słuszność, że kobieta, to książka już dawno przeczytana, nie ma w niej tajemnic, ani zagadek, człowiek znający życie, podbije każdą, tylko trochę odmiennymi sposobami... Jakim też on sposobem podbije to dziecko?... Ciekawa rzecz... tylko, cóż to może obchodzić Kazimierza? Jego nie obchodzi ani ten cały głupi tłum, ani cały świat — nic! Gdyby był zdrów, albo miał przynajmniej pewność powrotu do zdrowia, kiedyś tam, niechby i za parę lat dopiero, może wtedy obchodziłoby go cokolwiek na ziemi... chociaż i to wątpliwe. Prawdziwej filozofii uczy tylko nieszczęście, a jak się raz zostało filozofem — przepadło. Doktor twierdzi, że ostatecznie może go wyleczyć, i to prędko, z drugim atakiem także jeszcze będzie pół biedy, ale trzeci — trzeci... I żeby choć z własnej winy, żeby mógł sobie choć co wy-

rzucać, ale nic, nic, nawet na dziedziczność skarżyć się nie może, bo w rodzinie nie było takich wypadków. Ot głupstwo! przyjdzie śmierć i kwita. Dlaczego właśnie jemu ten trzeci atak miałby odjąć na zawsze władzę, bystrość umysłu, mowę, wzrok?... dlaczego właśnie on miałby być zamieniony w bezwładne zwierzę, wegetujące w tak miłym stanie lata całe?.. Na dziesięć podobnych wypadków, dziewięć kończy się śmiercią, a śmierć... cóż to wielkiego śmierć? Wszystkich to samo czeka, tylko o tem nikt nie myśli. O ile on jednak przewyższa innych ludzi! Gdyby nawet duch z tamtego świata stanął teraz pomiędzy temi roztańczonemi parami i powiedział: — „Czeka was śmierć!“ — nie uwierzonoby mu... wszyscyby się śmieli, wciągneliby go w swój odmęt, możeby dali nieproszonemu gościowi kieliszek szampana! Zabawne!... on nie potrzebuje widzieć ducha, a wie, że umrze, tak samo, jak umrze śliczna Wandzia, zgrabny Artur, głupi Adam... wszystkich to czeka bez wyjątku, a cała różnica w czasie. Naturalnie, byłoby przyjemniej żyć trochę dłużej, zwłaszcza w dobrem zdrowiu, ale ostatecznie, porównawszy taką różnicę długości życia z przestrzenią w czasie, zajmowaną — dajmy na to — przez żywot piramid egipskich, marnego tworu rąk ludzkich — ta

różnica wyda się prochem, atomem, właściwie niczem! Tak tylko nieszczęście uczy prawdziwej filozofii... i tylko głupcy mogą nie mieć szacunku dla nieszczęścia. Co prawda musi, sobie oddać sprawiedliwość, że dawniej i on był takim głupcem, że nieraz mijał obojętnie ślepych i beznogich, i ani mu przyszło do głowy, że brak nogi lub wzroku nie da się porównać z żadną nędzą... ale teraz wie i rozumie całą płytkość i nikczemność tych wszystkich ludzi, którzy się śmieją, marzą, roją plany w jego obecności, i ani pomyślą, że on nie ma prawa do niczego, że jest wyobrażeniem młodości bez nadziei — serca, które jakiś gwałt skazał na wieczne milczenie — duszy, której nie wolno zataczać kolisk, obejmujących świat od krańca do krańca. Podła ludzkość, nawet dla własnych, okaleczałych członków nie masz współczucia! Tylko ona jedna... byłaby dała wiele, „nikt nie wie jak wiele,“ by go zobaczyć, gdy leżał powalony niemocą i zrozpaczony. Gdyby mu powrócono zdrowie, może pogodziłby się ze światem — przez nią. Takimi wyjątkami, jak ona, natura stara się okupywać własną nędzę... Słodkie dziecko!... Kto wie dawniej, gdyby się był o to postarał, jej wiara w niego może byłaby rozkwitła w inny kwiat, wonniejszy, w naj-

piękniejszy z kwiatów? Teraz on — nędzarz, a ona — sama młodość, sama piękność, sama nadzieja i dobroć... Kochała zawsze wszystkie najbrzydsze i najbrudniejsze dzieciaki dlatego, „że ich pewno nikt nie kocha“, pieściła wszystkie okaleczałe psy i wszystkie osmalone w piekarniku koty dlatego, że brzydkie... Dziwaczne dziecko!... Śmiał się z niej, ale go to zawsze rozrzewniało; a dziś... kto wie, może gdyby stanął przed nią i powiedział: — „Jestem chory, biedny, zwątpiały, ale jedno wierne ludzie serce wynagrodzi mi wszystko“... kto — wie... ona zawsze kocha to, co było brzydkie i opuszczone, była więcej wyobrażeniem współczucia, aniżeli miłości... drogie serdeczne dziecko! a ja... O, nędzo ludzkiego ducha! Więc on Kazimierz byłby w stanie wyzyskać serce takiego anioła? miałby odwagę przykuć go do siebie — za rok, dwa, żyjącego trupa?... cha, cha, cha, gdzież ty się lężesz, ludzka myśli?

Skończył się kontredans, przebrzmiały tony polki i mazurka, i pary znowu płynęły w takt marzycielskiego walca. Teraz dłonie zaciskały się silniej, oczy śmielej tonęły w innych oczach, na niedomówione pytania i zaklęcia odpowiadały ciche, ale głębokie westchnienia. Pan Artur posadził pannę Wandę

na kanapce pod rozłożystym, palmowym wachlarzem i patrząc roziskrzonym wzrokiem w jej zmęczone oczy, mówił:

— Panno Wando! gdy tańczyliśmi teraz, myślałem sobie, że chętnie uniósłbym panią dalej, coraz dalej, poza ten cały wrzaskliwy tłum, a potem klęknąłbym przed mojem białem dziewczątkiem i modliłbym się do niego, choćby przez całą wieczność!

Panna Wanda przesunęła dłoń po oczach i przytomniej spojrzała na uniesionego towarzysza.

— Modliłby się pan do mnie? — powtórzyła — i o co?

Jej oczy już straciły poprzedni wyraz zmęczenia i patrzały, jak zwykle. Tego szczerego wzroku nie mógł wystrzymać żaden mężczyzna, więc i pan Artur spuścił powieki i rzekł trochę mniej pewnym głosem:

O to, byś mi pani pozwoliła pozostać tak na zawsze, o to, byś się zgodziła zostać moją na życie i na śmierć, o to, bym mógł być twoim sługą, twoim niewolnikiem, by twoje każde życzenie było dla mnie rozkazem, twoja wola moją wolą!

Znowu się zapalił gorąco, oczy mu pałały.

— A gdybym zażądała od pana złego czynu? — odezwała się na to Wanda, a mówiła

głosem tak spokojnym, że ten spokój byłby w stanie ostudzić nawet wrzątek.

Ale pan Artur stopniem gorączki przewyższał wrzątek.

— Złego czynu? — powtórzył — wszystko jedno! Dla pani, dla jednego uśmiechu tych ust, dla jednego wejrzenia tych gwiazdzistych oczu, ja jesten gotów zostać zbrodniarzem!

Wtedy na ustach panny Wandy zjawił się uśmiech trochę smutny i smutkiem powlókł całą jej twarzyczkę.

— To niemożebne, co pan mówisz — rzekła. — Jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem, nie mógłbyś na żądanie pepełnić zbrodni i nie mógłbyś kochać osoby, która byłaby w stanie namawiać do złego czynu.

— Ja też mówię tylko przez porównanie, bo pani jesteś wyobrażeniem nie tylko piękna, ale i dobra, mógłbym na to przysiądz!

— A to jakim sposobem? Pan mię znasz tylko z salonu, nigdy nie rozmawialiśmy z sobą poważnie, więc skądże wiesz, co ja myślę i czem jestem?

— Skąd wiem?... ależ mnie wystarcza spojrzeć w pani oczy!... a przytem, gdybyś pani nawet rzeczywiście nie była dobrą, to byłoby dla mnie wszystko jedno. My mężczyźni

nie targujemy się z naszemi sercami, tak, jak panie. Oddajemy je całe; omotani w czary, nie pytamy, kto nas omotał, tylko kochamy, pragniemy posiąść, zdobyć, a jeśli spotykamy przeszkody, jesteśmy gotowi wyzwać do walki niebo i piekło!

Panna Wanda słuchała bardzo uważnie i wzrokiem błądziła po obszernym salonie. Wtem drgnęła. Nawprost niej, pan Kazimierz siedział zasunięty w fotelu i patrzał na nią. Jego wzrok był smutny, ach! jaki smutny i dobry. Jej się zdało, że on ją błogosławi tym wzrokiem, że jej życzy szczęścia, że gdyby mógł, oddałby jej wszystko, co jest na świecie dobrego, ale jemu samemu smutno, bezbrzeżnie smutno. Serce zatrzepotało jej w piersi, jak ptak wylękły, więc je przycisnęła obu dłońmi, siedziała chwilę w wielkiem skupieniu, a potem się podniosła i nie odwracając wzroku od twarzy Kazimierza, rzekła:

— Przepraszam pana, panie Arturze: już wiem, że mię nie kochasz tak, jak ja chciałam być kochaną.... i ja pana nie kocham. Widocznie nie jesteśmy stworzeni dla siebie. . Jeżeli przyczyniłam się, że pan miałeś co do tego złudzenia, to bardzo przepraszam.

— Nie spojrzawszy nawet w tę stronę, pozostawiła pana Artura, a sama cicho odeszła,

i z rękoma ciągle przyciśniętymi do serca, stanęła przed Kazimierzem.

— Panie Kazimierzu, — zaczęła drżącemi ustami — serce już mi powiedziało kogo kocham i kto mnie kocha. Dziękuję panu.

Siadła i widocznie wzruszona patrzyła na niego oczyma łez pełnemi. Milczeli oboje, a potem on wyciągnął do niej rękę i wyrzekł z wysiłkiem ogromnie banalne słowa:

— Winszuję pani i życzę, żebyś była tak szczęśliwą, jak na to zasługujesz i jak ja tego pragnę.

Wtedy ona się zarumieniła, spuściła oczy i rzekła cicho:

— Nie udawaj pan, że mię nie rozumiesz, bo mnie i tak ciężko mówić. Ja odmówiłam panu Arturowi dlatego, że on mnie nie kocha, i przyszłam tu, bo pana oczy mi powiedziały, jak wygląda prawdziwa miłość.

Teraz zarumieniła się jeszcze więcej, jeszcze niżej schyliła głowę i ledwie dosłyszalnie szepnęła:

Ja także bardzo pana kocham, panie Kazimierzu.

Cofnęła się, jakby przerażona własnym głosem i tak siedzieli oboje ze schylonemi głowami, a wokoło niego tłum szalał w walcu. Jakie myśli przelatywały teraz przez te dwie

młode głowy, oni sami nie wiedzieli. Cienie i światła, bóle i radości, nadzieje i zwątpienia, cały chaos. W oczach Kazimierza przez długą chwilę paliła się namiętna radość, ale ta radość ustąpiła miejsca wyrazowi rozpaczy, rozpacz usunęła się przed gryzącem szyderstwem, aż pierzchło i szyderstwo, a na pobladłej twarzy zapanowało wielkie rozrzewnienie i jakaś wprost pokorna rezygnacya. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu, więc je otarł chustką, parę razy poruszył ustami, jakby próbując, czy mu nie odmówią posłuszeństwa, a w końcu zwrócił się do milczącej dziewczyny i rzekł spokojnie:

— Czy pani wie, panno Wando, co ja teraz jestem za człowiek i jaka mię czeka przyszłość? Ja nie mam prawa do niczego, nademną wisi śmierć, albo długa męka, o wiele gorsza od śmierci, a przy tem wszystkiem uważam się za uczciwego człowieka. Gdybym skorzystał z pani szlachetności, chciał gwałtem poryw dobrego serca uważać za prawdziwe i trwałe uczucie, gdybym się zgodził przykuć pani młodość do siebie, żyjącego trupa, byłbym zbrodniarzem. Tak panno Wando, gdybym cię nawet kochał, jak przypuszczasz, gdyby mi nawet miało serce pęknąć, jeszcze odrzuciłbym twoją ofiarę, bo przedewszystkiem trzeba być

uczciwym. Ale... dziecko serdeczne! ja ciebie nie kocham, ja nie jestem zdolny do miłości, życie już mię dawno wyziębiło, więc gdybym nawet był zdrów, nie byłbym wart skarbu który mi tak nieopatrznie podają twoje dziecinne rączki. Zapomnij pani o naszej rozmowie. pozostańmy przyjaciółmi... ja wierzę, że znajdziesz serce ciebie godne, tylko szukaj i badaj sama siebie, a tymczasem pozwól, że ci powiem dobranoc. Na mnie już czas, a prócz tego doszedłem do przekonania, że bale nie są odpowiednią zabawą dla takich, jak ja. Dobranoc, panno Wando!

Podniósł się ostrożnie i z widocznym trudem wyciągnął do niej rękę, ale że ona siedziała z głową bardzo pochyloną i nie widziała wyciągniętej dłoni, więc tylko się skłonił i powoli odszedł. Gdy się znalazł w przedpokoju, począł w stosie palt i płaszczów szukać własnego futra, wyciągnął je z trudnością, ale gdy zmęczony i już ubrany, położył rękę na na klamce drzwi wchodowych, wbiegła do przedpokoju panna Wanda.

— Panie Kazimierzu! my nie możemy się tak rozejść — mówiła, a głos jej się łamał od powstrzymanego płaczu, dziś ani czas, ani miejsce na podobną rozmowę — ja sama wiem że jestem rozdrażniona, nie wiem dobrze, co

mówię, ale jutro — jutro pan musisz koniecz- do nas przyjść, oboje winniśmy sobie wytłómaczenie — przyjdź pan jutro o czwartej, proszę!

Kazimierz stał, poruszony jej bladością i tym bezładem słów, które wyrzucała drżącemi ustami; miał ochotę porwać ją w objęcia i krzyczeć z całej mocy: „Tyś moja, bo cię kocham wszystkiemi resztkami moich biednych sił, moją całą nędzą, moją niemocą i wszystką rozpaczą, jaka jest we mnie!“ — a tymczasem mówił:

— Nie, panno Wando! nie przyjdę, aż się pani uspokoi i zapomni o dzisiejszem szaleństwie. Żegnam panią.

Wtedy dziewczyna uchwyciła obu rękoma jego ramię, a gdy się zatrzymał, rzekła z mocą stanowczo, niemal rozkazująco:

— Otóż przyjdziesz pan, bo nie przyjść byłoby tchórzostwem i prócz tego nieuczciwością, której się pan tak bardzo obawiasz. I czego się pan lękasz? czy o swoje serce? przecież nie kochasz, a o mnie możesz być spokojnym. Jutro będę umiała być rozsądną. Pomówimy poważnie, bez uniesienia, pan mi wytłumaczysz to, czego dzisiaj wcale nie zrozumiałam, a co powinnam chyba zrozumieć.

Nie zasługuję na to, by mię traktowano, jak dziecko. Przyjdziesz pan?

— Przyjdę.

— Dziękuję.

Panna Wanda wbiegła teraz do buduaru, wsunęła się między paprocie i znowu oparta głową o szybę, patrzała na blaski księżyca, takie ciche i srebrne, i na białą okiść, oślepiającą w światłościach miesięcznej nocy. Wokoło niej wrzało życie, buchał śmiech, szemrały ciche szepty. Panienki poprawiały przed lustrem toalety, matki mówiły sobie wzajemne komplimenty i udzielały cichych uwag swym córkom. Otyła dama, odziana w zielony aksamit, poprawiała jakiejś panience włosy i mó ł a niezadowolonym głosem:

— Nie pojmuję, jak mogłaś opowiada w obecności pana Henryka, że ładnych rzeczy można dostać tylko u Hersego. Wszyscy mężczyźni boją się rozrzutnych kobiet, jak ognia więc o strojach powinno się przy nich mówić jak najmniej, albo nic wcale.

— Wie mama — mówiła w drugim kącie ładna blondynka do wysokiej i chudej pani w żółtej sukni — zdaje mi się, że pan Artur uż się dziś oświadczył Wandzi.

— A! to tylko sobie podziękuj — odparła opryskliwie chuda pani. — Asystował

ci dosyć, więc trzeba było umieć korzysta z chwili.

— Trudno, żebym go przytrzymywała za poły od fraka — odcięła się córka; — nie umiem być kokietką.

— Kokietką!... i bez kokieteryi można przytrzymać. Wandy i Ani nikt nie nazywa kokietkami, a one jednak złapały najlepsze partye, i co im kto zrobi?

A dwie panienki siedzące na kanapce szeptały cichutko.

— Czy zauważyłaś tego wysokiego blondyna, który tańczył ze mną pierwszego i drugiego kontredansa? — mówiła jedna.

— Zauważyłam, i było mi cię serdecznie żal.

Pierwsza się roześmiała.

— Było ci żal? A czy wiesz, kto to jest? To syn piwowara B., będzie miał ze trzy miliony, a w obecnych czasach nawet za milion można wybaczyć rude włosy i ciężkie ruchy.

— Aniu! czy pan Adam na prawdę ci się oświadczył? — pytała tymczasem przyjaciółkę panienka w niebieskiej sukience.

— Tak, odpowiedziała panna Ania — tylko nie mów nikomu.

— Dobrze, ale ja myślałam, że ty wolisz pana Juliusza?

— Ech! on dobry tylko do flirtu i także musi się żenić z posagiem. Wyjedziemy po ślubie do Włoch, a potem do Paryża, wiesz?

— Szczęśliwa jesteś... jak jabym chciała zobaczyć Włochy!

Westchnęła, a potem obie wzięły się pod ręce i przeszły do salonu.

Zabawa miała się ku końcowi, ofiary kanapowe drzemały z nader urozmaiconemi wyrazami na zmęczonych twarzach i budziły się wzajemnie lekkiem trącaniem łokci, gdy wnoszono ciasta lub chłodniki; młodzież ziewała i ukradkiem znikała w przedpokoju ze stałym zamiarem niewracania: panienki patrzały smutnie na swe pomięte kwiaty, gazy i jedwabie, i dumały nad krótkotrwałością przyjemności tego świata. Nareszcie salon opróżnił się zupełnie Dogasające i ociekające stearyną żyrandole i kinkiety, posadzka, polana winem i usiana strzępami wstążek, kwiatów i kotylionowych ozdób, próżne kanapy, porozstawiane bezładnie krzesła i fotele ziewały opuszczeniem i smutkiem, i wyglądały, jak gdyby chciały mówić o tem, co minęło i nigdy nie wróci, pomimo tego wyczekując jeszcze, pełne bezradnej skargi i niemego wyrzutu.

Jakieś echa, jakieś niepochwytne szmery i westchnienia błąkały się po tej smutnej

pustce, a z każdego kąta wyzierała szara, nieokreślona nuda, razem z szarym pyłem rozsiadała się, niby wszechładna królowa, na wszystkich sprzętach i powoli wypełniła sobą cały, tak niedawno świetny salon.

Dama w złocistym jedwabiu ziewnęła, powiodła wokoło siecie obojętnym wzrokiem, poczem rzuciwszy zaspanemu lokajowi jakieś zlecenie, weszła do buduaru.

— A cóż mi powiedzą moje panienki? — zapytała stojąc we drzwiach i patrząc na córki z uśmiechem.

Panna Ania siedziała na kanapce i wygodnie oparta o miękką poręcz, drzemała. Panna Wandzia, wtulona w głęboki fotel, dumała z twarzą ukrytą w dłoniach. Na głos matki drgnęły obie, a panna Ania ziewnęła i rzekła:

— Możesz mi mamusiu powinszować, pan Adam będzie jutro u ciebie.

Matka odetchnęła.

— Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą, moje dziecko -- mówiła; — pan Adam to bardzo zacny człowiek i kocha cię. A cóż ty mi powiesz Wandziu? — zwróciła się do młodszej córki: — czy już poddałaś serce pana Artura dostatecznej próbie?

— Tak mamusiu, — szepnęła pana Wanda ze spuszczonemi oczyma; — przekonałam się,

że on mię nie kocha tak, jakbym chciała, a ja nie kocham go wcale i... powiedziałam mu to dzisiaj.

Panna Ania roztrzeźwiła się zupełnie, szeroko otworzyła oczy, a na czole matki zarysowła się brózda.

— Waryatka! — wyrwało się nagle z ust panny Ani.

— Tak, waryatka: Ania ma słuszność — powtórzyła sucho dama w złocistym jedwabiu.

W pokoju zapanowało teraz milczenie, widocznie bardzo nieprzyjemne dla panny Wandy, bo rączki, któremi mięła chusteczkę, mocno drżały. Po chwili matka zrobiła ręką ruch, jakby zniechęcenia, i rzekła z nadspodziewanym spokojem:

— Nie myślę ci robić uwag, moja Wandziu, bo znam cię z tej strony, że jesteś tak uparta, jak był twój ojciec; uważam sobie wszakże za święty obowiązek powiedzieć ci, że zwichnęłaś sobie los. Miałaś w ręku najlepszą partyę, bo pan Artur, oprócz majątku i mienia, posiada młodość i urodę, zdolne zadowolić najwybredniejsze serce, ale na szczęście, gdy z czasem poznasz własne głupstwo, będziesz mogła o nie oskarżać tylko samą siebie. Jesteś moją córką, sama cię wychowałam, ale muszę sobie

oddać tę smutną sprawiedliwość, że nie pojmowałam cię dawniej i teraz nie pojmuję. Myślałam, że życie cię zmieni, ale trudno, już widać zawsze pozostaniemy dwoma przeciwległymi biegunami. Pójdź, Aniu!

— Tak, — myślała — jesteśmy dwoma biegunami... cały tutejszy świat i ja, to także dwa przeciwległe bieguny. Nikt mię nie rozumie... a przecież to tak słodko kochać! Osunęła się na fotel i ze wzrokiem, utkwionym w arabeski dywanu, dumała dalej.

— Biedna mama... ale przecież on biedniejszy! Jak mogłam nie wiedzieć, że go kocham, kiedy teraz mi się zdaje, że ja to już dawno miałam w sobie. I on mię kocha... wyparł się, ale kocha, bo ja to czuję, wierzę... tej wiary nawet on sam nie będzie mógł mi odebrać... Chory, grozi mu śmierć, albo życie gorsze od śmierci!... więc cóż stąd? czy byłoby mu lżej umierać samemu, albo żyć samemu? Czy ja mogłabym być szczęśliwą przy panu Arturze, wiedząc, że on gdzieś tam leży chory i może opuszczony?

Zacisnęła dłońmi skronie i szeptała półgłosem:

— Za nic w świecie, za wszystkie skarby!... Jeśli nieszczęście znowu wróci,

będziemy je znosili razem! Jeśli straci wzrok, będzie patrzał mojemi oczyma, jeśli straci mowę, pozostaną mu moje usta, jeśli straci słuch... nie, nie! Boże, choć słuch mu zostaw, bo jakże będę mówiła, że go kocham, że jestem naprawdę szczęśliwa, że nie udaję, że nie pragnę nic więcej, prócz tego, by być razem z nim?

Po twarzy spłynęły jej dwa strumienie łez. Złożyła ręce, jak do modlitwy i patrząc gdzieś daleko, poza błękitne ściany pokoju łkała.

— O mój najdroższy! mój ukochany! nie pozostawię cię samego i tak cię będę kochała, że wystraszone nieszczęście ucieknie...

— Prawda myślała teraz — przecież tylko dziedziczny paraliż wraca, a u niego to się stało przypadkiem. Podobno był bardzo zgrzany i cały spocony, zimny wiatr go owiał i choroba zaraz go schwyciła... ja nigdy nie dopuszczę, żeby się zgrzał, i nie pozwolę, żeby go wiatr owiał nigdy — nigdy!

Znowu złożyła ręce i zaczęła się modlić.

— Boże! — szeptała gorączkowo — spraw, by nieszczęście nie wróciło... ten jeden jedyny raz ulituj się i pozwól niech nie wraca...

Długą chwilę siedziała bez ruchu, cała w skupieniu i ciszy. Niezmącone milczenie przerwał dopiero srebrny głos staroświeckiego zegara, stojącego w rogu na konsoli. Biła siódma godzina. Dziewczyna drgnęła, podniosła się i stanęła w oknie, patrząc na bledniejące niebo, na którem świt począł zapalać srebrzyste i różowe łany.

— Jutro przyjdzie! pomyślała i uśmiechnęła się do zórz porannych — przyjdzie i powtórzy mi, że uczciwość nie pozwala mu zrobić mię szczęśliwą... że na to trzeba być zbrodniarzem... a ja wtedy opowiem mu wszystko, co tu pomyślałem, i potem... wezmę jego obie ręce, uścisnę je gorąco, przytulę do serca mocno, by odczuł, jak ono dla niego bije — popatrzę mu w oczy tak, ażeby koniecznie poznał i uwierzył... i...

Czy zorza przejrzała się w oczach i odbiła na twarzyczce, zapatrzonej w srebro i róże świtania? Dziewczyna stanęła w ogniu, ukryła twarz w obie dłonie i nieruchoma, zawstydzona, szepnęła:

— Nie wypada... nie wypada, spalę się i sił mi nie stanie — tylko... podobno mężczyźni nie umieją się oprzeć, gdy ich ukochana kobieta bardzo o co prosi — jeśli inaczej nie

będzie można, co zrobię?... Trudno! on musi uwierzyć, że go kocham taką miłością, co to przychodzi raz w życiu — że dla mnie tylko jego odmowa będzie nieszczęściem — tak, bo ja chcę, żeby miłość zwyciężyła ową wyrozumowaną uczciwość i musi zwyciężyć!

Czy zwycięży?!!











Temu co będzie twoim, bądź jak promień cichy,
Nad którym białych lilij jaśnieją kielichy;
Po którego srebrzystej i gładkiej równinie,
Jako bóstwo pokoju, śnieżny łabędź płynie;
I w którego przezroczej, źwierciadlanej fali
Słonecznieje pogoda — lazurowej dali.
Bądź mu jako rzeźwiący swieży letni ranek,
Jako zapach konwalij śród leśnych polanek;
Jako błękit wiosenny, chmurą niedotknięty,
Jak tęczą malowane kryształów dyamenty;
Bądź jak tarcza w zwątpieniu; jak balsam na troski,
Bądź jak pieśń, którą śpiewa chór aniołów boski,
Bo na świecie są wichry, na świecie są burze;
Nieraz dzień bywa nocą, słońce stoi w chmurze
I nieraz płacze oko: lecz serce dziewczęcia —
Jest jak przystań, gdzie mocą bożego zaklęcia

Wszelki wicher się w błogą uspokaja ciszę,
Wszelki smutek się do snów łagodnie kołysze:
Więc temu, czyją będziesz gdy go troski ranią
Bądź tym cichym promieniem i taką przystanią.
Niechaj czerpie z twej duszy jak z żywego zdroju,
Aby mógł wstać żelazny do strasznego boju,
Ach, którego nikomu nie oszczędzi życie;
Taką miej moc w swej ciszy i ducha błękicie.

Lange.





Za krajem.



Dosyć mi świata — przepychów zmiany
Tych marmurowych gmachów i miast.
Gór niebotycznych, w wód oceany, —
Ja pragnę do mych powrócić gniazd.

Podziwiam szczyty Alp, Pirenei,
W których powiewa chłodzący wiatr,
Lecz nawet w śnieżnej kocham zawiei
Pasma gór naszych, Pienin i Tatr.

Potężne morza i wodospady,
A po jeziorach gondola mknie...

Z niej Trubadurów śpiew serenady
Po modrym Golfie unosi się!

Majestatyczno wdzięki przyrody
I balsamiczna kwiecista woń,
Winnic, cyprysów i palm ogrody,
Jakżeż nie wielbić tę rajską błoń?

Wielbić piękności, poić się niemi,
Lecz miłość, serce, ciało i krew
Należy do mej rodzinnej ziemi,
Prawu natury nie pójdę wbrew.

Ja tęsknię tam. gdzie Wisła wstęgą
Z karpackich źródeł okala gród,
Gdzie pod włościańską białą siermięgą
Gorące serca zachował lud.

Ni tam okręty, ni tam gondole
Nie mącą srebrnych szemrzących fal,
Ale rybackie małe pachole,
Śpiewając, łódką pomyka w dal.

Nie ma tu winnic, lecz orne pola,
Gdzie palmy więdną, dąb może róść,
Mniej tu przepychu, lecz milsza dola,
Bo w bujnych kłosach jest zboża dość.

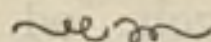
Prowadź mnie prędzej, duchu skrzydlaty,
W moje ustronia, do kopca stóp,
Niech próg rodzinnej przestąpię chaty,
Tam ma kolebka, życie i grób.

Adam Staszczyk.





LATO.



Odeszła wiosna, odeszła. Zatrzasnął za nią duch nocy świętojańskiej drzwi ciężkie i już jej nie wypuści z pod klucza. Minęła, jak sen czarodziejski, rozwiała się jak fata — morgana

Na progu stanęło lato, bogini z dumną twarzą Hery z namiętnem sercem Afrodyty, klasyczna w dojrzałem pięknie swych kształtów.

Do stóp jej kłoni się podziw, podczas gdy wiośnie oplatały szyję białe ramiona uczucia.

Nigdyż się ono już nie zbudzi, to senne marzycielskie uczucie, czyste w pragnieniach swych tęsknych i w pieszczotach swych cichych? Zwiędło razem z fiołkami, przebrzmiało z pieśnią słowiczą, uszło z przedziwnym arcmatem młodości, co roznosił się rankiem z nad łąk, nietkniętych jeszcze kosą.

Różo — królowo, twoja teraz pora! Tobie nie przystoi nieuchwytna gra półtonów. Okwitasz pełnią barw woni i kształtów i nie masz nikogo, kto sprostałby tobie. Odwróciłaś się pogardliwie od lękliwych uroków wiosennych, od tych dni, kiedy złote pociski słońca kruszą się jeszcze o chłodne łono rozmarzłej ziemi; kiedy zioła, jakby same sobie dziwiąc się, wypuszczają pierwsze pędy; kiedy gaje i sady oblewa zrazu niby przeźrocza mgła seledynowa, gęstniejąc zwolna w coraz wyrazistsze zielone smugi, aż w końcu ztężeje przed śledzącemi je oczyma w olbrzymie bryły szmaragdów.

To wszystko przeminęło.... Zieleń straciła swą przeźroczystość i błyskotliwość. Rzucił się na nią cień, tu bronzowany, ówdzie siny — cień, który nie rozpływa się nawet, w pełnym blasku słońca. A kiedy

wiatr powionie, już nie kłębi się falami bezkształtna, tajemnicza masa. Oko wyraźnie z oddali odróżnia drzewa, na drzewach gałęzie, na gałęziach liście.

W sadzie dawno opadł biały i różowy kwiat grusz, jabłoni, śliw, czereszeń, wisień; tu i ówdzie płyną już czerwone jagody, tam znowu zalążki jesiennych owoców pęcznieją szybko, prosząc się u słońca, aby im dało rumieńce i słodycz.

Słońce nie odmawia swej łaski Ale zapał płomiennego kolosu zaczyna się wyczerpywać Nadrabiając miną, gwałtownością, zwalnia biegu niewidocznie, ledwie o chwilkę co dnia, zawsze jednak zwalnia. Te chwilki szybko mnożyć się poczną, stworzą kwandranse, godziny — aż niespodzianie wejdzie długa noc jesienna, pełna smutków i płaczu.

Ba, któżby o niej już dziś myślał! Powietrze tyle wchłonęło gorąca, że, zda się na wieczność mu wystarczy. Ale dlatego właśnie już ono nie to samo, które jeszcze tak niedawno, czystem i rześkiem podniecało tchnieniem; drobny pył kurzu przepełnia całą przestrzeń, szarym na przedmiotach osiadając pokrowcu.

Od południa nadciągnęło jakieś czarne widmo. Niesie je wiatr palący. Potwór rozkłada szeroko skrzydła swe ołowiane i huczy groźnie i błyskawicami oślepia.

Burza, burza!

Nie znała jej wiosna...

*

*   *

Przeleciała ta burza jak anioł zagłady; lunęła ulewą, wichrem świat wysmagała, gradem go zmiętosiła przyprawiła piorunami o strach śmiertelny.

.. Wyszli oboje do ogrodu zobaczyć ślady niszczącej potęgi. Było już w tych młodych twarzach, świeżych jeszcze i rumianych, — było w oczach o nieprzygasłym bynajmniej blasku owe „coś,“ które, jak mgła nad rzeką, unosi się nad leniwą falą otrzeźwionego życia.

On, troskliwy snać o swe gardło, postawił kołnierz tużurka do góry; ona, stąpała ostrożnie, aby jak najmniej zbłocić buciki i podniosła spódniczkę na której nawet czysta rosa mogła by zostawić plamę.

— Moje kwiaty — rzekła z westchnieniem, wskazując na gazon.

Biedne te „jej kwiaty“ naprawdę, — godne współczucia; jakby stado dzikich rumaków przebiegło po nich, leżały powalone, zdeptane, zabłocone: ogniste cynie, zadumane bratki, kokieteryjne floksy, wiecznie niespokojne werbeny.

— Moje owoce! – zawołał on po chwili, z niemniejszym żalem.

Tak cieszył się niemi; tyle trudów poniósł, aby je ocalić od późnych szronów, potem zaś od żarłocznego robactwa. I oto, jeden dzień, jeden podmuch wiatru postrącał je niedojrzałe i rzucił na powolne gnicie.

Chcieli iść dalej, nagle jednak dobiegło ich z dworu żałośne echo: kwilenie małego dziecka. Jak elektryczną iskrą rażeni, w cwał pobiegli ku domowi, on nie zważając już na to, że kołnierz rozchylił się i odsłonił zakatarzone gardło, ona sukienkę włócząc po wilgotnym żwirze i zroszonej trawie

Usiedli przy łóżeczku dzieciny, marudnej czegoś od wczoraj. Był w południe lekarz, — uspokoił ich, że to tylko przejściowa niedyspozycya, może poczynający się katar, może ząbki.

Ale przed oczyma stanęły im teraz zdeptane kwiaty, strącone zawiązki owoców — dzieło burzy, co wpadła przed chwilą, choć jej nikt nie przeczuwał.

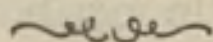
O, wiosno, pogodna, nieświadoma, nieprzeczuwająca niebezpieczeństw, dlaczego mijasz tak prędko!

St. Rossowski.





PO RAUCIE.



Tak jestem zirytowana,
Na raut, na Lwów, na świat cały,
Że już nie zasnę do rana.
Chcą mnie złapać na morały!
I kto? Pan Jan! śliczna lala!
Stary osioł z pod Sokola!
Spotyka nas w garderobie,
Gdyśmy razem z ciocią obie
Tylko co na raut przybyły,
I woła! „Pani ucieka!
„Już! tak wcześnie! Boże miły!
„Ledwo dziewiąta godzina!
„Przecież droga niedaleka!“
Osioł! i śmiać się zaczyna.
Inni też się uśmiechali,
Ja, spojrzałam na nich dumnie,

I szybko weszłam do sali.
Prędzej dam się zamknąć w trumnie,
Z domu nie ruszę się wcale,
Niż ktokolwiek mnie przekona,
Bym na rauty i na bale,
Przyszła wczas, jak jaka bona!

Gadają, „że w taki sposób,
„Każdy raut psuję zawczasu;
„Bo poruszam tyle osób,
„I tyle robię hałasu,
„Że ktokolwiek cobądź czyta,
„Deklamuje albo śpiewa
„Ucho sensu ani chwyta;
„Więc i publiczność się gniewa
„I artystom krzywda wielka,
„Może to i bagatelka,
„Lecz tak robić się nie godzi.“
Tra la la la! Kazanie!
A ja na to, mości panie,
Że mnie to nic nie obchodzi.
Śpiew, muzyka, deklamacya.
Są to rzeczy może ładne,
Lecz dla mnie jedyna racya,
Którą na pierwszy plan kładnę,
Jest szyk mojej toalety.

Przyjdę wcześnie, sala pusta
Czterech mężczyzn, dwie kobiety,

Siedzą i sznurują usta,
Jak figurki z porcelany,
A mnie admirują — ściany.

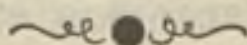
Wchodzę późno — ścisk w salonie,
Ktoś tam gada jakieś wiersze,
Po jednej i drugiej stronie
Robią dla mnie miejsce szersze,
Każdy pyta! co to? kto to?
Wyciąga szyję do góry,
Chwali moją kolję złotą
Urocze kształty turniury,
Biust, kibić, na wszystkie boki!...
A ja rosnę pod obłoki,
I ledwo świadoma bytu
Zasiadam pełna zachwytu.

Tak jest, więc skończona sprawa.
Róbcie sobie śpiew i granie,
Ja tam tego nie ciekawa,
Ja na raut, mimo gadanie,
Nigdy wczas, wierna zasadzie,
Nie przyjdę, jak byle jaka,
Choćby tam miał na estradzie,
Don Karlos tańczyć kozaka.

M. Rodoć.



Widzę was znowu...



Więc znów was widzę, w życiowej zawiei,
Wy biedne, drogie izdebki mej matki!
Ileż się w pierś mą tłoczyło nadziei,
Gdym z was leciała w świat, jako ptak z klatki!
— Więc znów was widzę, w życiowej zawiei...

O, echa piosnek, o, kwiaty wy miłe,
O, łóżko białe, śnie dziecka radosny!
Przez jakąż boską i czarowną siłę
Mówicie do mnie o maju mej wiosny!
— O, echa pieśni! O, kwiaty wy miłe!

W sercu mem ufność odnawia się, rośnie
Wśród tych ścian drogich! Z dalekiej gdzieś strony
Uśmiech, kwiat wiary, tak świeży, jak w wiośnie,
Na usta wraca, — oddawna zgubiony.
— W sercu mem ufność odkwita i rośnie...

Matko! Raz jeszcze, w tej ciszy, przy tobie,
Pod twą pieszczącą dłonią chyląc głowę,
Chcę u twych kolan, jak w dawnych dni dobie,
Szeptać ci słowa smutne i echowe...
— Matko, raz jeszcze w tej ciszy, przy tobie!

O, nie opuszczaj mnie nigdy, bądź ze mną,
Chmurnej mej wiosny podporo jedyna!
Przy tobie traci zwątpienie moc ciemną,
Dusza dławiących trwóg swych zapomina...
— O, nie opuszczaj mnie nigdy! Bądź ze mną!

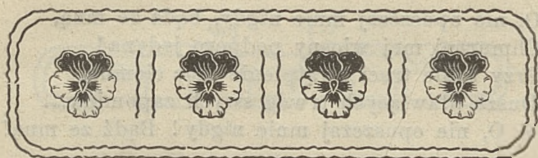
— Cichem owiane oddechem spokoju,
Gwiazd na lazurach złociste drżą światy...
Milczy ból ziemi krzyk boju,
Jak uciszony wiatr, jak senne kwiaty,
Cichym owiane oddechem spokoju...

Ada Negri

(przedkład) Maryi Konopnickiej.







KUZYNKA MIZIA.

NOWELLA,

przez Waleryę Marrené Morzkowską.

Kiedy zacząłem kochać się w swojej kuzynce, tego nie mogę określić. Zdaje mi się, że kuzynki stworzone są na to właśnie, ażeby budziły pierwsze zachwyty, pierwsze rumieńce, pierwsze drgnienia serca i otwierały przed nami świat czarów. Zresztą, pamięta się tylko te kuzynki, w których się było zakochanym. Ja sam miałem ich najmniej jaki tuzin, a jednak wyraz *kuzynka* wywołuje w mojej myśli obraz tylko jednej.

Widzę ją, małą jeszcze, z jasną buzią, złotymi warkoczykami, gdy bosemi stopkami biegała po wybrzeżu morskiem w Połądze. Razem zbieraliśmy muszle, sypali wały z mokrego piasku, puszczali na wodę miniaturowe

okręty, a raz, gdy zerwał się sznurek, na którym trzymaliśmy nasz statek, niby na kotwicy, i uniosła go fala, a Mizia się rozpłakała, pobiegłem za nim na morze, i gdyby nie interwencya kogoś ze starszych, byłaby może fala i mnie z nim uniosła.

Z tego się pokazuje, że była to już miłość, a nawet i miłość z odcieniem heroicznym; nie wyłączało to jednak dworskiej galanteryi, bo w tej samej Połądze, z którą się wiążą moje najpierwsze wspomnienia, zapytany przez kogoś: czem chcę być, gdy dorosnę? — odpowiedziałem bez namysłu: „Szewcem.“

Proszę sobie wyobrazić ogólne zdumienie! Zazwyczaj chłopcy chcą być tem, czem są ich ojcowie; czasem podoba im się mundur, i chcą być żołnierzem; najczęściej poprostu — *panem*. Ale szewcem!... O tem nikt nigdy nie słyszał. Więc posypały się pytania: skąd?... dlaczego?...

Nie byłem jeszcze w wieku, w którym ukrywają się uczucia, więc przyznałem, że dlatego, by zrobić trzewiczki dla Mizi, która właśnie skaleczyła sobie stopę o jakąś ostrą skorupę.

Tę skaleczoną stopkę widzę dotychczas przed sobą: bielutka, jak śnieg, niby atłasowa poduszeczka, pełna dołeczków, z paluszkami,

jak kulki, na których błyszczą różowe paznokietki. W tej chwili sączyła się z niej purpurowa struga, a z oczu Mizi płynęły dwa strumienie łez.

Byłbym został nietylko szewcem, lecz kominiarzem, którego — nawiasem mówiąc — lękałem się jeszcze straszliwie w owej porze, byle ta krew i te łzy nigdy nie płynęły.

Potem długi czas niewidziałem Mizi. Mieszkaliśmy wówczas daleko od siebie. Pamiętam ją znowu podlotkiem. Była tak opalona, że włosy jej odcinały się jasną barwą od czoła; rączki jej chude, jak patyczki, były pełnem szram, sińców, zadrapań, bo Mizia była żywa, jak ogień; kapelusz jej zawsze wisiał na plecach, rękawiczki, poszarpane na szmaty, leżały gdzieś pod krzakiem agrestu, albo porzeczek, a może wisiały na gałęzi gruszy, wiśni, czy jabłoni, po których Mizia umiała się wspinać jak kotek.

Nóżki jej wówczas więcej niż w Połądze wymagały opieki szewca, bo pantofelki miała zawsze wykrzywione w niemożliwy sposób, a jednak mnie w oczach ciągle stała ta śliczna zraniona stopka; zdawało mi się że, ją kryją tylko te szkaradne pantofelki, jak łachmany zaczarowaną królewnę, i byłbym dał wszystko,

com posiadał, by je zdjąć i ucałować tę atłasową stopkę, jak w Połądze.

Tego już nie mówiłem. Niestety straciłem oddawna dziecięcą naiwność i milczałem nawet wobec Mizi, podczas naszych wypraw do sadu, który był dla mnie istnym obrazem raju. Nie mówiłem jej tego, com czuł, tylko patrzałem jej w oczy, a na skinienie czerwonego paluszka byłbym bez wahania wdrapał się na szczyt... no, tylko jakiego drzewa obciążonego owocem, bo też tam innych nie było, a paluszek nic innego nie wskazywał.

Teraz najlepiej lubiłem patrzeć w jej oczy. Cóż z tego, że twarz była twarzą prawdziwej Cyganki, że miała typowe ręce podlotka?... Za to jej oczy!... Nie oczu, Mizi opisać niepodobna: kolor ich był zmienny jak fala, ale one nie miały zdradliwości fali, bo każda myśl, każde uczucie, każde przelotne wrażenie odbijało się w nich, jak w zwierciedle. Mizia nie mogła skłamać nigdy, choćby chciała nawet — zdradziłyby ją oczy. Nie potrzebowała głosu: oczy zawsze wypowiedziały naprzód to, co potem powtórzyły usta, a często i to, czego nie powtórzyły. W tych oczach było tyle rzeczy tak pięknych, że dość było w nie spojrzeć, by je pokochać. Była w nich przedewszystkiem złota prawość, i od-

waga, i siła, czasem znów taka jakaś miękka rzewność, jakby serce jaśniało w źrenicach.

Głos Mizi odpowiadał oczom: był szczery, jak one, a miał takie śliczne brzmienie, że nie byłem zdolny uważać na wyrazy, oczarowany jego harmonią.

Ona wówczas ciągnęła mnie za rękaw i pytała, o czem myślę.

Wiedziałem już, że ją kocham; jednak nie wyznałem jej tego nigdy, bo w tych oczach w których malowało się tyle rzeczy, nie było nigdy nic, coby stanowiło zachętę. Po głowie Mizi snuły się wówczas jakieś fantastyczne, bohaterskie sceny; w sercu tkwiły, ideały nie mające nic z rzeczywistością wspólnego. Dość, że... nie bawiliśmy się w męża i żonę, nie flirtowali, jak to czynią nieraz, na wzór starszych — podlotki, i była pomiędzy nami szczera braterska przyjaźń.

Mizia zwierzała mi się w tajemnicy ze swoich marzeń. Były one wielkie, jak jej serce, a dziecinne, jak twarzyczka. Ale ja, któremu nigdy nic podobnego do głowy nie przyszło, słuchając jej, czułem się lepszym i wyższym.

Gdy po skończonych naukach powróciłem z zagranicy, pierwszą myślą moją było widzieć Mizię. Była już wówczas panną dorosłą... To jest, mylę się: Mizia mogła mieć wówczas

lat dwadzieścia, podobno nawet była pełnoletnią, ale dorosłą nazwać jej było niepodobna. Zachowała miniaturową figurkę, miniaturową stopkę i oczy o zmiennym wyrazie, w których można zawsze czytać jej myśli, jak w zwierciedle ; tylko teraz źrenice jej zaszły jakimś wilgotnym blaskiem, a głos, którego muzykę miałem ciągle w uchu, stał się słodkim, jak pieszczota.

Zresztą, była to zawsze ta sama bohaterska, nieopatrzna Mizia... Nie wiem prawdziwie, jakie było jej właściwe imię: Marya, Michalina, Emilia, czy Emma? — ale ta nazwa Mizia, tak doskonale odpowiadała jej dziecięcej powierzchowności, iż inaczej zwać jej nie mogę.

Powitała mnie, jak gdybyśmy widzieli się wczoraj, podała mi rękę, szczerze ścisnęła ją, jak wówczas, gdyśmy razem szerzyli spustoszenia wśród sadu... ale nie odczuła tego, że dłoń moja drżała, gdym dotykał białej ręki, która nie miała nic wspólnego z chudą, czerwoną łapką podlotka... i nie dostrzegła, żem bladł i mienił się wobec niej, żem patrzał w nią, jak w tęczę.

Byłem panem mego losu, miałem prawo powiedzieć jej: „Bądź moją!“ — pokrewieństwo nasze nie było tak blizkie, by ta przeszkoda nie dała się usunąć z łatwością. Jednak nie powiedziałem jej nic... Widziałem jasno,

że byłoby to napróżno. W jej oczach tkwiło teraz coś, czego tam dawniej nie było, a czego ja wyczytać nie umiałem... Może tylko lękałem się wyczytać. Źrenice jej pozostały zawsze tak szczere, jak kryształ, blask ich był żywszy, niż kiedykolwiek, tylko w ich głębi było coś nakształt zasłony w ołtarzach, kryjącej cudowne wizerunki: przebić jej było niepodobieństwem.

Mizia, żywa jak dawniej, niekiedy wpadała w zamyślenie nagłe, a wówczas znać było że słucha nie słysząc, patrzy nie widząc, że duch jej jest jakby wniebowzięty, bo uśmiech pełen słodyczy okrążał usta, głowa pochylała się pod ciężarem marzeń. Ale temi marzeniami teraz nie dzieliła się ze mną. Ta kryształowa istota miała swoją tajemnicę. Zbyt szczera, by ją ukryć zupełnie, nosiła jej znak, wypisany wyraźnie na białem czole i jasnych źrenicach. Może nie zauważyli go inni... ja odrazu spostrzegłem

Ileż nocy bezsennych spędziłem nad jej odgadnieniem!...

Ona także była niezależną; sierota ze znacznym majątkiem, nie potrzebowała nikomu zdawać rachunku ze swych postanowień.

Gdybym ją był zapytal, patrząc w oczy: co tam leży na dnie jej duszy? — może odpowiedziałaby mi bez ogródki. Cóż, kiedy ja

pytać nie śmiałem!... I czułem, że jesteśmy codzień nie bliżsi, lecz dalsi od siebie, że nasza przyjaźń, którą nieraz mieliśmy na ustach, stawała się z każdą chwilą podobniejsza do pamiątkowego kwiatu, ściśniętego w kartach albumowych, z którego barwy i woń uleciały. Coś niewidzialnego stało teraz pomiędzy nami i czyniło nas obcymi sobie.

W samotności rozpaczałem, czyniłem szalone postanowienie, układałem całe litanie zapytań, wyznań, błagań... Cóż, kiedy wobec niej odrazu zapominałem o wszystkiem!... Ogarniał mię czar i majestat tej drobnej postaci... A potem, wiedziałem, że gdy słowo jakie padnie z jej ust, będzie ono niepowrotne, i milczałem, jak skazaniec, który czuje, jaki wisi nad nim wyrok, a lęka się go usłyszeć... Niestety! w głębi duszy złudzeń nie miałem...

Wyczerpałem wówczas wszystkie marne pociechy — dla niepocieszonych. Mówiłem sobie po tysiąc razy: „Nie ona jedna na świecie!...“ Ale były to tylko czcze słowa; przekonywałem się zawsze, że ona była jedyna. Szukałem ulgi w oddaleniu i znajdowałem tylko ból większy. A Mizia? Ona nie zauważyła nigdy, czym się oddalał, czym powracał.

Wówczas gotów byłem gryźć własne ciało z rozpaczy i błagać miłosierdzia. Czasem zda-

wało mi się, żem jej nienawidził. Nie dlatego, że mnie nie kochała, ale że nie widziała nawet, co się we mnie dzieje.

Nagle uderzyła mnie, jak piorun, wieść, że Mizia idzie za mąż. Podobno wszyscy szeptali o tem oddawna. Wiedziałbym i ja pewno, gdybym nie był, spowity moją namiętnością, także głuchy i ślepy na świat zewnętrzny.

Mizia szła za mąż. Posłyszawszy, zerwałem się jak szalony i zaprzeczyłem. To być nie mogło! I myślałem, że przecież nie zabija się człowieka, nie wysłuchawszy go nawet.

Tak było. Rzecz podobno oddawna ułożona, chociaż opierała się jej cała rodzina Mizi.

Niestety! wybór biednej Mizi był fatalny. Zgadzali się na to wszyscy. Ona w swej nieopatrzności obrała pierwszego lepszego, który stanął w danej chwili na drodze, ubrała go we wszystkie skarby swej wyobraźni, uczyniła z niego bożyszcze, przed którem uklękła w pokorze. Jeśli ją ostrzegano, uśmiechała się tylko, bo przecież nie rozumiał *go* nikt na świecie, tylko ona jedna.

Na podobne uczucia niema rady.

Cóż z tego, że jej narzeczony znanym był dobrze we wszystkich kołach jako najpospolitszy typ człowieka bez wartości, dla którego użycie jest wszystkiem, i nosił nawet przezwisko *złotego*

Lutka? Ona niechciała o tem wiedzieć, upierała się czcić w nim bohatera swych marzeń.

— On musi przynajmniej kochać ją szalenie! — wołałem, chcąc koniecznie cokolwiek ocalić dla niej w tym, którego wybrała.

Śmiano mi się w oczy. On kochać? Wszakże od czasu, gdy był potajemnie narzeczonym Mizi, głośnemi były sprawki złotego Lutka. Znał go dobrze półświatek warszawski i eleganckie szulernie.

Nie chciałem temu wierzyć także. Jej ukochany nosił w moich oczach rodzaj aureoli, z której nikt obedrzeć go nie mógł. Chciałem sam przekonać się, czem był rzeczywiście. Nie miałem spokoju, dopókim go nie poznał. „Niech sobie mówią, co chcą, — myślałem — on musi się czemś odznaczać; musi być przynajmniej przebiegły, jak sam szatan, mądry, jak Salomon, a wreszcie choćby piękny, jak Antinous!" Urobiłem sobie z niego w wyobraźni typ kusiciela, ażeby przynajmniej usprawiedliwić jej pomyłkę.

Pierwsze spotkanie rozwiało złudzenie. Takich złotych Lutków, różnego stanu, położenia, poziomu, postaci, spotyka się wszędzie setkami. I on to był ołtarzem, przed którym paliła kadzidła jej czysta dusza, bohaterem, który zstąpił do przybytku jej serca, tym,

który przesłonił sobą świat cały, uczynił ją głuchą i ślepą na cudze cierpienie?...

Ironia losu nie była nigdzie dalej posuniętą, niż w połączeniu tych dwojga.

Ja, szalony, postanowiłem walczyć z tym losem, jakbym nie wiedział, że „serce i potok ostrzegać daremnie.“

Przy pierwszem spotkaniu z Mizią rzuciłem jej znienacka:

— Wiesz! Poznałem Lutka.

Nie drgnęła, nie zmieniła barwy, tylko cichy półuśmiech okolił jej usta, które poruszyły się bez dźwięku, jakby szeptały tajemniczą modlitwę.

Czekałem próżno na słowo jakie.

Byłbym lepiej zrobił, gdybym się cofnął; coś ostrzegało mnie o tem, ale ja się cofnąć nie mogłem.

— Miziu, — wyrzekłem, a głos mi drżał — przypomnij sobie te czasy, gdyś mi ufała... nazywała przyjacielem, bratem.

Nie było odpowiedzi.

— Dlaczego nic nie mówisz? — zawołałem — czy tych czasów nie pamiętasz, czy tylko pamiętać nie chcesz?

— W oczach jej wyczytałem nieufność, nim wyrzekła:

— Ludzie zawsze powołują się na przyjaźń, gdy chcą nam sprawić boleść.

— I ty możesz...

Nie skończyłem; widziałem, że tłumaczenie moje było daremne.

Milczeliśmy teraz oboje, ale nie było to wcale milczenie, w którem zlewają się dwie dusze; było to raczej milczenie dwóch mierzących się przeciwników.

Wreszcie Mizia wybuchnęła żalem:

— I ty także dokuczasz mi, Janku! Ty...

— Ja ci dokuczać!... — szepnąłem, przerażony samą tą myślą. — Miziu! ja dla twego szczęścia...

— Co ty wiesz o mojem szczęściu! — przerwała. — Każdy go upatruje w czem innem. Człowiek żaden nie rozumie drugiego człowieka, a ja mam prawo szukać szczęścia tam, gdzie je widzę.

Mówiła to gwałtownie, urywanie; wzburzenie głos jej dławiło. Oczy teraz były czarne prawie. Ciskały błyskawice. I nie był to jej głos, ani jej oczy.

Na mnie padła cisza rozpaczy. Nie myślałem już o sobie, tylko o niej. Chciałem wziąć jej rękę, wyrwała mi ją.

— Czegóż się gniewasz? — spytałem.

— Bo tego już nadto. Mówicie mi wszyscy rzeczy niemożliwe, pod pozorem przyjaźni, po-

krewieństwa, braterstwa. Opłakujecie mnie, jakbym miała umrzeć; zatruwacie mi każdy oddech, każde uderzenie serca...

— Miziu! kochamy cię.

— Kochacie! wy! wy! Nie wiecie nawet co to kochać, bo nie stawalibyście daremnie na wspak mej miłości.

— Miziu! — zawołałem, oburzony do głębi duszy, że ona równała mnie z innymi. — Ja nic nie wiem, co tobie mówiono, kto się nad tobą użalał. Nie wiem o tem nic wcale, ale poznałem świat i ludzi i wiem, że twój...

— Nie mów nic! — wybuchnęła znowu — nie kończ... to próżno... Wiem z góry, co usłyszę Mówiono mi to już tyle razy, grożono nieszczęściem. Więc dobrze. Jeżeli chcę być nieszczęśliwą, ty mi tego nie zabronisz, ani nikt na świecie.

Cóż można było odpowiedzieć? To chyba, że nie znała nieszczęścia, nie wiedziała, jaką potęgę wyzywa. Patrzyłem na nią przerażony

— Boże! — zawołałem wreszcie, — Co ty w nim widzisz?

— Moje szczęście, bo kocham go — odparła z tą logiką namiętności, z którą wszelka walka daremna. — I wiedz, że wolałabym nieszczęście z nim, niż to, co nazywacie szczęściem, z każdym innym, z tobą naprzykład.

Było w tych słowach wyrafinowane okrucieństwo. W tej chwili ona rozumiała moją miłość, deptała ją, składała w ofierze swemu bożyszczu.

Boże! Co ona mi wówczas mówiła!... Serce jej wzburzone potrzebowało ulgi słów. I słyszałem jeden z tych tysiąca poematów, zapisanych nie na kartkach książki, lecz krwawemi zgłoskami w głębi serc; poematów układanych na cześć nieistniejących bohaterów, przepełnionych wielkiemi, subtelnemi uczuciami, o których oni nie mają nawet wyobrażenia, a któremi obdarzają ich wspaniałomyślnie, na kredyt swych ideałów, takie śmiałe bezwzględne marzycielki, jak Mizia.

Takie poematy mają w życiu rozwiązanie tragiczne. Kończą się zwykle zupełnem zwątpieniem, czasem śmiercią, lub obłąkaniem tych, którzy je układali.

Los Mizi spełnić się musiał. Ja już tego nie widziałem Wyjechałem hen, gdzie mnie oczy poniosą. Nie chciałem słuchać więcej ani o jej małżeństwie, ani o niczem. Unosiłem w myśli za jedyne bogactwo szereg wspomnień; one nawiedzały mnie we snach i na jawie. Widziałem w nich białą zranioną stopkę dziecka, gorejące oczy podlotka i rozkochaną bezgranicznie kobietę.

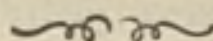
Gdym powrócił, grób Mizi zarastał już trawą. Bóg okazał się dla niej miłosiernym: nie pozwolił, by przeżyła swą wiarę.

Mówiono o niej różnie, żałowano powszechnie. Ja jeden tylko wiem, jakie serce biło w tej maleńkiej istocie i jakiej miary były jej marzenia.





NOCTURN.



Czar cichej nocy, wonnej nocy letniej,
W gwiazd słodkiem drżeniu, w grze pastuszej fletni,
W smerze strumyka, w szumie smukłych sosen
Niesie mi z sobą sny mych cudnych wiosen, —
Sny one święte, one sny łabędzie
Które ma Dusza w samotności przędzie,
I które w sercu mem wieczyście mota
Długa, bolesna za Tobą tęsknota.

I z pośród wizyj w mgieł otęczy tłumie
Płynących z pieśnią czarodziejską ku mnie,
Z boskim uśmiechem szczęścia i kochania
Twoja anielska postać się wyłania,
Lejąc w me serce uczuć swych dziewictwo,
Swojej miłości drogie posłannictwo:
— I zapatrzony w dalekie przestwory,
Piję czar z szczęścia złocistej amfory.

I myśl ma z Tobą jednoczy się święcie,
Ginąc w Twej Duszy przepastnym odmęcie: —
Bom jeszcze dzieckiem śnił o przyjściu Twojem,
Boś moją wiarą, ciszą i pokojem,
Bo głos Twój święty ukaja i pieści,
Gdy serce w prochu tarza się z boleści,
Bo sny me wielkie w Duszy mojej mota
Długa, bolesna za Tobą tęsknota.

Józef Wiśniowski.



Zamykam oczy... Przed oczyma memi
Obraz dalekiej rozwija się ziemi...
Wielkie jezioro błękitną przestrzenią
Odbija niebo; nad niem się zielenią
Mirty i róże z kwiatami białemi,
A gór dalekich śnieg, co w niebo wzlata,
Jest jakby wzlotnem zachwyceniem świata,
Jest jakby świata zamyśleniem cichem,
Jest jego pieśnią, modlitwą, uśmiechem...
Na błękit wody schodzi cisza z śniegów
Złocista cisza, podobna bogini
A fala, dzwoniąc u zakwitłych brzegów,
Grające stopom jej sandały czyni
I po muzyce wodnej śnieżne cisze
Stąpają zwolna i idą błękitem —
Na brzegu gaj się różany kołysze
I mirt w toń kwieciem prószy srebrnolitem.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.



Dwie wiosny.

WŁOSKA.

Długo - tygodnie całe nie wychodziłem z pokoju, więc tylko przez okna patrzyłem na świat: na szare, brzemienne wiosną niebo, to na morze gniewnie rozkołysane, to na czuby figowców o bladozłotych płomykach listków, gdy je wiatr przyginał do okien; to znów przez zgaszone szkliwo deszczów złociły mi się gaje cytryn i pomarańcz, i szarzały srebrem oliwki, a poza niemi, w głębi dalekiej, majaczyły porwane kontury gór. A nocami, temi nieskończonemi nocami marcowemi

krzyczało morze i kłami fal szarpało skały, aż dom trząsł się w posadach i całe stada wichrów przewalały się przez moją terasę i z jękiem i wyciem spadały do morza. — A rankami jęczały żałośnie żerujące mewy i wyły parowce w małej zatoce Sorrentyńskiej.

Wiosna nadchodziła.

Czekałem cierpliwie sił i rozmarzyłem się cudami, jakie czekały na mnie tam — za ścianami hotelu w polach i gajach Sorrenta... czasami rzucono mi okwieconą gałęź brzoskwini;
...to bukiet liliowych dzikich lewkonii, których namiętny zapach przynosił mi wiatr do skał wybrzeżnych;
...albo wyblakłą zimną purpurę dogasających kamelii;
...lub długie pędy migdałów o krwawych kwiatach, jakby skąpanych w zorzach zachodu;
...a czasami pęk złotych kul pomarańczowych;

I wtedy była izba moja, smutna i zimna, rozświetlała się barwami i kwiaty śpiewały mi o wiośnie, o blizkiej utęsknionej wiośnie.

A tak strasznie łaknąłem tej wiosny— tej włoskiej wiosny; tej wiosny, śpiewanej przez poetów, o której marzyłem przez wszystkie lata życia mojego, że śniłem o niej, jak o cudzie cudów, że była mi już samą tęsknotą — ta primavera Aalska.

Aż pewnego dnia nie wytrzymałem, zerwałem się i poszedłem jej szukać.

Poranek był jasny, ale rozprażony i duszący — sirocco wiał dnia tego.

Zatoka neapolitańska była zmącona, podobna do olbrzymiej balii, pełnej mydlin opalizujących.

Wezuwiusz nie dymił, a kopcił niemiłosiernie i rozpościerał brudne łachmany dywanów nad Pompeą

A cały brzeg zatoki pełen miast i domów, wyglądał, jak stara, rozpadająca się cembrowina gipsowa

Neapol różowił się przez szkliste bielma oparów, a Capri, Procida, Ischia — wychylały na horyzoncie z głębin morza i mgieł bezkształtne cielska, podobne do mitycznych Lewiatanów,

Brzeg sorrentyński od Mety aż do Capodi Monte szarzał urwistą, pogiętą i poszarpaną ścianą skalną, na której zie-

lenił się pas ogrodów pomarańczowych i bielały grupy domów.

Na wąskich terasach, przyczepionych do prostopadłej skały wybrzeża w załamkach skał, w szczelinach — zieleniły się nędzne trawy, czasem dzikie lewkonie fioletowemi kwiatami plamiły szarawe tła, to znowu jakieś marne, poskręcane, połamane, karłowate figowce lub oliwki ssały nędzny żywot z rumowisk lub mała plantacya pomarańcz, zasłonięta od wichrów matami, przypierała rozpaczliwie do skał...

Nie, tutaj wiosny nie było.

Poszedłem od morza w górę.

Drogi głębokie, otwarte z wierzchu kanały, obmurowane do wysokości pierwszego piętra murami podtrzymującemi ogrody — zionęły chłodem piwnicznym, pokryte były pleśnią, woda sączyła się po murach okrytych mchami i zielenią: wązki pas nieba nad głową przysłaniały fantastyczną siatką gałęzie drzew, ciężkie kule pomarańcz wisiały bezładnie, to rozkwitłe migdały. jak obłok czerwony, roznosiły się nad drogą, a miejscami czereśnia białymi kielichami zaglądała lub stuoki bób patrzył z nad muru.

Szedłem aż na wyżynę Conti delli Fontanelle, bo dusiłem się tutaj.

Cisza była martwa, słońce bladą i ciepłą grzywę podnosiło coraz wyżej i mięk-czyło ostre kontury cieniów, drzewa stały bez ruchu, jakby omdlałe, jakby w katalepsyi zwieszały się liście.

Droga szła coraz wyżej, była coraz szerszą i suchszą, wiła się już krętym pasem kurzawy aż do szczytu samego — skąd roztaczała się ogromna panorama na Serrento i całą zatoką Neapolitańską — ogromny amfiteatr, nieskończonemi terasami schodzący do morza — olbrzymi ogród, pełen młodej zieleni winnic, co jak pajęczyna rozpinały się wzdłuż dróg, po zboczach gór, po drzewach, po terasach. po balustradach białych domów — wszędzie omotały swą przędzę szaro-zieloną, od szczytów gór zamykających z trzech stron amfiteatr i spływały do morza, i tam, ta zieleń blada przechodziła w błękitno-modrawą stal, a potem paliła się już ku środkowi zatoki jak wypolerowane srebro.

A z drugiej strony od zatoki Salerneńskiej góry obrywają się prawie nagle, i podruzgotane, porwane, postrzępione i zwalone w chaotyczne rumowiska, spa-

dają wprost w morze, które, jak nieobjęty okiem basen z łapis lazuli, popręgowany złotemi pasmami — paliło się w słońcu...

Kilka mew białobrzusznych przecinało błękity, kilka łodzi rybackich białymi żaglami plamiło szafirową toń — a poza tem pustka przeogromna, topiel wody i słońca, bezbrzeżność i milczenie.

Ale i tutaj nie było wiosny.

Była wątła zieleń kwiaty bez zapachu, przestrzenie bez głosów, odradzanie się przyrody bez radości -- a nigdzie krzyku tryumfującego wiosny, nigdzie zgiełku potężniejącego życia. prężenia soków, pożądania się, nienawiści, miłości, zmartwychwstania i tych nieprzeliczonych głosów naszej wiosny — naszej ziemi.

Te wąskie pasy ziemi narzucone na skalne podłoże, nie buchały żarem, kwiatami zielenią. życiem — a jakby wyczerpane walką ze słońcem i z kamieniem, leżały ciche i pławiły się melancholijnie w tem ciepłem kaloryferowem prawie powietrzu.

Kaloryferowa, cierplarniana wiosna.

A do okoła roztocze nieskończone monotonnego błękitu i wody nieruchomej, zmartwiałej, a w pośrodku, cały ten kraj garbaty górami, kraj rumowisk bezładnych,

brzydkich i dzikich, poplamiony kępami nędznych zieleni, wpośród której słaniają się strasznie brzydkie domy i miasteczka.

I na drogach smutnych, kamienistych, leży wieczna martwa cisza, czasem z pośród tych gór trupich, z pośród tych bezmyślnych zsypowisk zdechniętych głazów, z bladych aloesów i dzikich kaktusów, wychylały się brodate głowy kóz — a częściej jeszcze gromady dzieci żebrzących o soldy.

Niebo bez chmur, morze bez ruchu, ziemia bez krzyków — martwa cisza rumowiska, wśród którego pleni się z trudem, z boleścią, w męce ciężkie, głodne życie.

I napróżno dzień cały szukałem tej wiosny wymarzonej, tej cudnej primavery italskiej — niema jej w Italii, ona jest tylko u poetów, ale tem piękniejsza i rzeczewistrza.

Kiedym powracał, mroki już przysłaniały cały amfiteatr Sorrentyński — świeciły najwyższe szczyty gór i wody w zatoce.

A cisza tego wiosennego wieczoru była jeszcze cięższa, bardziej smutna i martwa niżli we dnie.

W jakiejś zagrodzie, schowanej w cytrynowym gaju, osły zaczęły ryczeć przeraźliwie, odpowiadały im i inne zdala i z blizka, że uczynił się ochydny koncert wieczoru.



POLSKA.

Uciekałem z Włoch, gnany niepokonaną tęsknotą za krajem.

Jechałem dnie i noce, aż pewnego wczesnego dnia czerwcowego, przed wschodem słońca, o świcie, pociąg wyrzucił mię na małej pustej stacyjce w okolicach Piotrkowa — i odleciał z hukiem.

Byłem jakby wyrzucony z chaosu na samo dno ciszy.

Przejście było tak gwałtowne, że długą chwilę nie wiedziałem, co się ze mną stało, byłem jeszcze przeniknięty krzykiem pociągów, hałasem i ruchem tygodniowej

jazdy szalonej: oglądałem się bezradnie, a przez mózg przewalały się słoneczne krajobrazy, góry, morza, rozwszeszczane miasta, tysiące twarzy, tysiące przedmiotów, tysiące głosów — majaczyło się we mnie...

Szaro było i tak pusto, i tak cicho, że oprzytomniałem.

Poszedłem w ten przedświtowy mrok, w pola, na przełaj.

Mgły, jakby runami wełny pokrywały łąki, zboża jeszcze czarne stały cicho pochylone, w rosach całe, senne; szaro-zielonawa kurzawa świtu przysłaniała śpiącą ziemię: pierwsze zorzy rozsączały się na wschodzie i mżyły opalowymi pyłami.

Wszystko spało jeszcze.

Usiadłem na piasczystej, wilgotnej wydmie pod lasem, nie mogłem iść, bałem się mącić tej świętej ciszy zórz pierwszych, nie śmiałem budzić majestatu snu wiosennego...

Ogromny las stał za mną w niezgłębionej ciszy, słychać było tylko monotonne kapanie rosy i coś, jak oddech tych pni olbrzymich, zbitych w gęstwę, stłoczonych, jakby się wspierających w tem słodkiem odpocznieniu.

A przedemną nieobojęta równia szaro-zielonawa: chaos nieuchwytnych jeszcze zarysów drzew, wsi, pól i lasów — przez który snuły się jak wizya senna, ledwo odczułe zarysy rzeki — niby pas mgieł szklistych.

Ale świt już nadchodził.

Niebo zaczęło się oddzielać na wschodzie od ziemi wązkim pasem opali, przechodziło w róż i żarzyło się coraz bardziej, rozlewało, stawało się płynną purpurą. a potem olbrzymimi płomieniami rozlało się na horyzoncie.

I na ziemi uczyniło się jaśniej, z głębin szarych zaczynały wyrzynać się zarysy jakichś kościołów, wież, drzew, to aleja jakaś zarysowała się potężnym konturem, to wsie odrywały się czarnemi plamami z głębin, to strumień wybłysnął nagle z szarości lub szyba stawów zamigotała — cienie ustępowały jakby opony ściągane z ziemi zorzanymi palcami świtu, że coraz nowe wsie, domy, drzewa drogi, pola wychylały się z próżni, stawały się, zaludniały ziemię — a horyzont wciąż się rozjaśniał, rósł, rozszerzał, rozpurpurzał i cofał, aż zginął w blaskach dnia, bo z pod zórz wychyliła się rozpalona obręcz

i po chwili, krwawe, bezrzęse oko słońca zawisło w przestrzeniach.

Budziła się ziemia.

Las drgnął, zaszemrał i pochylił korony ku słońcu, a z łąk i oparzelisk zaczęły bić mgły w górę, jak dymy z trybularzy. Stawy podnosiły powieki mgieł i sennem jeszcze zorzanem spojrzeniem patrzyły w niebo; zboża zachrzęściły źdźbłami, poruszyły się sennie, że rosa jak grad różowemi perłami posypała się na ziemi. Strumienie zabulgotały i płynęły szybciej, radośniej.

Nad mokradłami czajki już chibotały białymi podbrzuszami, kołowały i kwiliły, bocian zaklekotał nad stodołą jakąś i ciężkim lotem płynął na żer, jaskółki świegotały pod strzechami, dziki kaczki krzyczały na oparzeliskach, a od wsi jakiejś jeszcze nie widzialnej, płynęło po rosach rżenie koni.

Słońce szło w górę, dzień się zrobił zupełny, bo skowronki ze wszystkich pól zrywały się ku niebu i drżał w powietrzu ich hymn porankowy, a potem głos sygnaturki leciał po rosach, dzwonił, budził, radował.

Szedłem zahypnotyzowany czarem tego wiosennego poranku. Zapomniałem już o Włochach, zapomniałem o sobie, zapomniałem o wszystkiem — żyłem cudem tej ziemi, miałem wiosnę w sercu, i wszystkie te barwy, drzenia, śpiewy, zapachy, całe to przepotężne życie przyrody tętniło we mnie, było mną i ja byłem niem...

A ten wiośniany cud trwał i potężniał jeszcze.

Zaszumiały grusze na rozłogach i deszcz kwietnych listków sypał się na trawy i chwiał na źdźbłach, jak motyle.

A słońce podnosiło się wysoko było już na dwa, już na pięć chłopów i rozświeciło, rozłociło świat cały.

Zapachniały sady, podobne do kwietnych obłoków, zapachniały pola zielone, zapachniały łąki całe w kwiatów przepychu, zapachniała ziemia wczoraj zorana— i rozdzwonił i rozśpiewał się naraz świat barwami, życiem, radością, uniesieniem.

Wiosna śpiewała swój hymn tryumfu milionami głosów, i szła przez ziemię barwna, radosna, dobroczynna i święta.

O Święta! śpiewał chaos splątanych głosów polnych.

Święta! dzwoniły strumienie kryniczne, śpiewały niezabudki, niebieskiemi oczami zapatrzone w toń migotliwą.

Święta! śpiewały żyta już w kłosach i szły całemi polami jakby ku słońcu i kłaniały się rytmicznie, jakby w dziękczynej modlitwie.

Święta! śpiewały kwiaty łąk, wiśniowe gaje, skowronkowe głosy, szumy borów, zapachy ziemi brzęki pszczół.

Święta! Święta! Święta! Dyszał cicho wietrzyk poranny i jak gospodarz tych pól nieobjętych, przebiegał je wzdłuż i wszerz — i gasił rosy, podnosił źdźbła ociężałe, rozdmuchiwał grzywy zbóż, otrząsał kwiaty, targał miękkimi kochającemi ruchami maćkowe grusze po miedzach, gonił się z potokami, zwiewał z kwiatów motyle — to tarzał się po drogach, wysuszał kałuże, to biegł w pola do uznojonych pracą ludzi, oszuszał im czoła i świstał im w uszy: Święta! Święta.

A potem przyszło południe upajające, potężne żarem — i obezwładniło życie na chwilę.

A potem słońce opadało zwolna ogromne, ciężarne jutrem i kładło się tam, za bory, za ziemie dalekie.

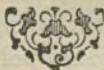
A ziemia rozszalała w potędze istnienia, wezbrana sokami, nabrzmiała krzykiem radości — przycichać zaczynała, sennieć...

I szło wszystko ku odpocznieniu, ku ciszy wieczornych godzin, bo słońce zapadło zupełnie — świeciły tylko zorze ostatnie, i oczy stawów błyskały gdzieniegdzie, a od wiosek ostatnie gwary drżały, beczenia owiec, gęganie gęsi, zgubionych na pastwiskach, to śpiew pastuchów na łąkach leciał po rosach.

A potem mrok, cisza i senność.

Tylko bzy zaczęły mocniej pachnieć i słowiki po gąszczach śpiewały czarowny hymn nocy wiosennej — hymn miłości.

Władysław St. Reymont.



RÓŻA.

Różo blada! Uszczknąłem kwiat twój pośród błoni
Nazwanej szczęściem, niosłem ciebie w kraj uroczy
Zwany młodością, kędy geniusz wiosny kroczy
I mgłą marzenia drogę pielgrzymowi słoni!

Maj biegł przez bór i pieśnią szumiał u mej skroni
A na niebie jutrzenek przyświecały oczy
Zdało mi się, że ziemia w niebo się potoczy
I jak anioł oblicze przed Stwórcą zapłoni...

Dziś na szarych obłokach codziennego życia
Maluję te jutrzenki, w ciemnym świecie ducha
Szukam ścieżki do szczęścia błoni zapomnianej.
Każdej nocy mnie budzą pierzchłe doby śnicia,
Lada szmeru przeszłości serce chętnie słucha
I różami lat dawnych przysłania swe rany.

Jindrzej Niemojowski.



PIEŚŃ WIECZORNA.

Wieczor już, Panie! Oto leśni ptacy
Skłaniają skrzydła ku gniazdom w polocie,
Oto pól twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy,
We łzach, w tęsknocie...
Z blasków poranku, i dnia, i ze słońca,
Nie miałeś dla mnie żadnego promienia,
Oto się czas mój nachyla do końca,
Oto już gwiazda wieczorna i drżąca
Błyska wśród cienia...

Innym oddałeś zórz jasnych kolory,
Nad cichą strzechą rzucone w łazurze
I zapach łąki i ciszę w naturze,
Bocianie gniazda, topole i róże,
I ciemne bory...

Lecz ja ze świata całego ogromu
Jedno jedyne serce wzięłam sobie.
Gniazdo me spadło strącone od gromu,
Nie było dla mnie ogniska ni domu,
Żyłam w żałobie...

Po cząstkę moją, na boku stojącą,
Nie wyciągnęłam przez dzień cały ręki.
Życie przechodzi, pomija, potrąca,
Myślałam — wspomni! — czekając tak końca,
Nucąc piosenki...

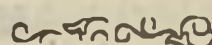
Lecz oto kwiaty posnęły majowe,
I kruk samotny znajduje posłanie...
Czuję chłód ros tych, co lecą perłowe,
Na wiernej piersi daj skłonić mi głowę.
— Wieczór już, Panie!...

Marya Konopnicka.



Zwyczaje towarzyskie

DLA PAŃ.



Zachowanie się w kościele.

Pobożność i wychowanie religijne uczą nas, jak zachować się mamy, gdy wchodzimy do świątyń, poświęconych czci Bożej.

Śmieszną i próżną jest kobieta, która wszedłszy do kościoła sadowi się w pierwszych ławkach z hałasem i szelestem; zwraca bowiem, przez to na siebie uwagę zgromadzonych i przeszkadza drugim modlić się.

Kręcenie się, uśmiechanie, flirtowanie w kościele, nie należy również do dobrego wychowania. Kto niema religii szkodzi tyl-

ko sobie samemu; ale szkodzić drugim, odrywając ich uwagę od myśli i rzeczy które za święte uważają jest nawet gburowatością i nieszlachetnością. W kościele powinno się zachowywać jak najskromniej, i całą uwagę poświęcić Bogu, Stwórcy wszechrzeczy. Wiara, modlitwa i pobożność podnoszą piękność kobiety. Otacza ją ona aureolą ideału i uszlachetnienia w oczach wszystkich. Mężczyżni uchylają czoła kornie przed kobietami wierzącemi.

Powinno się jednak unikać przesady. Bigoterya i przesadne oddawanie się modlitwie, głośne pacierze, całowanie obrazów, leżenie krzyżem, wszystko to także jest niewłaściwe. Wszystkie oznaki gorącej dewocyi, ściągające na siebie oczy zgromadzonych, oznaczają brak znajomości zwyczajów światowych.

Nie powinno ubierać się idąc do kościoła, w suknie zbyt strojne, odpowiednie na rauty lub większe zebrania Osoba prawdziwie inteligentna, dystyngowana, w własnym dobrym smaku znajdzie to umiarkowane pojęcie toalety, jaka jej przystoi, kiedy idzie na nabożeństwo.

Wchodząc do kościoła trzeba najpierw umaczać palce w wodzie święconej,

dla przeżegnania się. Jeżeli się jest w towarzystwie starszych wiekiem od siebie osób, można dla grzeczności podać wodę święconą na końcu swoich palców. Jeśli jest się z młodszymi to oni powinni to samo uczynić. Panienka wchodząca do kościoła ze swoją służącą, chociażby ta była nawet w podeszłym wieku, nie podaje jej wody święconej. Mężczyzna zaś każdej kobiece, której towarzyszy, winien tę oznakę grzeczności.

Byłoby niedelikatnością odmówić przyjęcia podanej sobie święconej wody, oznaczyłoby to niewłaściwą i niestosowną pogardę dla podającego. Dobrze wychowana osoba obowiązana jest przyjąć takową nawet od wroga swego lub od osoby dwuznacznego prowadzenia się. Jest to sposób okazania w czynie zasady Chrystusowej, pobłażania i przebaczenia, którą to cnotę praktykować obowiązani jesteśmy pod sklepieniami świątyni.

Kollatorki lub kollatorowie albo szczególniejsi dobrodzieje kościołów, którzy posiadają zamknięte lub raz na zawsze stałe, dla siebie przeznaczone ławki, nie powinni usuwać z nich tych, którzy je przedtem zasiedli. Pokora bowiem jest cnotą, która

jaśnieć powinna w domu Bożym. — Nie wypada opuszczać świątyni, dopóki osoby, które razem z nami przybyły, nie zechcą jej opuścić. Postępując przeciwnie, ubliża się nawet najbliższym przyjaciołom i krewnym.

Duchowni, młodzi czy starzy, mają prawo do oznak uszanowania; — skromna suknia zastąpić powinna w oczach naszych wiek sędziwy, zaszczyty i godności. — Zwyczajnie nie podaje się ręki księżom, schyleniem głowy wyraża się powitanie lub pożegnanie.

Panna lub młoda mężatka kwestując w kościele, powinna być zawsze poważnie ubraną. W czasie kwesty wielkotygodniowej najwłaściwszy jest strój czarny. Lekkiem skinieniem głowy dziękuje się za składane na tacy ofiary. Panna lub bardzo młoda mężatka nie może kwestować bez towarzyszki w dojrzalszym wieku, albo bez mężczyzny starszego, zajmującego pewne poważne stanowisko w świecie.

Brakiem wychowania jest rzucać z wysoka pieniądze na tacę, jakby się chciało pokazać że ofiara jest znaczną i wspaniałą. Przechodząc nie powinno się rozmawiać z kwestarką, chociażby się ją jak naj-

lepiej znało: odpowiedni ukłon ze strony mężczyzny, albo przyjazny znak pozdrowienia ze strony kobiety jest wystarczającym. Zatrzymywanie się młodych ludzi przy stole kwestarek zasługuje na naganę jako zupełnie niestosowne i niewłaściwe.

Zachowanie się w domu.

Pomimo to, że może niektórym osobom wydaje się, że w kółku rodzinnem nie potrzeba znajomości życia i uwagi w postępowaniu — mylne to bardzo zapatrywanie. — Nie wszystko jest dozwolone i dobre, nawet w kółku najbliższych. Ileż to kobiet mniema, pomimo, że nie są złe i zepsute, że wszystko pozwolić sobie można w kółku rodzinnem. Niektóre nawet wyobrażają sobie, że byłoby rzeczą śmieszną zadawać sobie jakikolwiekbądź przymus wśród swoich; że szacunek, grzeczność, uprzejmość są tylko koniecznością przy obcych. Ileż to jednak niczem nie wynagrodzonych nieszczęść powstaje z tego mniemania, z tego zapomnienia o obowiązkach przyzwoitego zachowania się.

Ileż to razy widzi się domowe pożycie złamane, przez złe pojęcie obowiązków grzeczności!

Ukrywamy wady swoje, ułomności charakteru, a nawet kalectwa fizyczne wobec obcych, którzy niczem są dla nas, którzy nie potrzebują ich znosić długo; ażeby je narzucić, czasem przez przeciąg całego życia tym, którzy złączeni są z nami związkami krwi lub małżeństwa. Postępowanie takie jest idiotyczne, oznacza brak serca i delikatności, i nie jedna już kobieta złamała sobie i mężowi życie, tylko dlatego, że nie potrafiła ukryć wad swych i gwałtowności przed najbliższymi.

Mówią niektórzy, że przywiązanie ułatwia znoszenie rozmaitych tego rodzaju przykrości, zapominamy jednak, że przywiązanie osłabia się także powoli, pod ich nawałem, że z czasem wyczerpać się może. Starajcie się panie być jak najłagodniejsze, a życie rodzinne stanie się drogie i miłe, o tyle, o ile teraz częstokroć jest smutne, ciężkie i nie do zniesienia.

Na pewnym przymusie w domu u siebie można tylko zyskać. Jest to dobre

przyzwyczajenie, które nabiera się powoli. Strzeżmy się zbytecznej swobody, do której tak łatwo przyzwyczaić się można. Wyradza się z niej niedelikatność a nawet gburowatość.

Jakiekolwiek wady i błędy, mają rodzice, dzieci powinny być dla nich z największym szacunkiem; powinny zawsze sadzać ich na pierwszem miejscu, choćby sami zajmowali wyższe od nich stanowisko w świecie. Wszystkie honory domowe im się należą. Jeżeli kto nawet nie kocha swoich rodziców i ci nawet na to sobie nie zasługują, powinien uczynić to dla świata. Jeśli postępuje inaczej, uchybia sam sobie. Przynajmniej pozory powinno się zachować; ustrój bowiem społeczny i towarzyski tego wymaga.

Mylne bardzo jest, jeżeli kto sądzi, że ustępując pierwszeństwa przyjaciołom przed rodzicami, oddaje im cześć i robi im przyjemność. Śmiało zapewnić możemy tych, którzy więcej dbają o szacunek świata, aniżeli o spełnienie najświętszych obowiązków, że lekceważając związki rodzinne, ściągają na siebie tylko szyderstwa i obmowę tych, którym chcą wyrazić swoje

poważanie. Składają oni bowiem dowód najzupełniejszej nieznajomości nauki życia.

W sposobie zachowania się w życiu rodzinnem, są tak delikatne odcienia, że ocenić i zrozumieć je może tylko osoba pełna taktu i znajomości świata, zwłaszcza jeśli trzeba brak serca, zastępować tymi przymiotami. — Krewnemu kalece, podeszłemu wiekiem, powinno się pierwej podać rękę, przysunąć lub podać krzesło, chociaż zwykle przepisy etykiety nakazują pod tym względem pierwszeństwo dla obcych. W takim razie słówko uprzejmego usprawiedliwienia się przed obcemi, najzupełniej wystarczy.

Obowiązkiem naszym jest nietylko kochać rodzinę, ale okazywać jej szacunek, postępując nie gorzej z krewnymi jak z obcymi. Wybierać sobie najlepszy kąsek z półmiska, najwygodniejsze miejsce przy stole, na sofce lub przy lampie, jeśli wiek i powaga rodzicielska nie upoważnia nas do tego, jest najwyższą oznaką złego wychowania. Nie zadawać sobie pewnego przymusu w zachowaniu się, w ubraniu, w sposobie wyrażania się, jest to ubliżać otaczającym. Drobiazgi te tworzą życie,

a nie wypełnianie ich psuje nie raz całą harmonję rodzinną i tworzy przykre niesnaski.

Mąż który nie ustępuje pierwszego miejsca żonie, który nie uważa by ona pierwsza szła naprzód, który nie stara się przynieść jej ulgę i pomoc w jej zajęciach, jest grubianinem; zamiast otrzymać tym sposobem jakąkolwiekbądź przewagę nad nią, zamiast okazać swoją wyższość, upada z pewnością bardzo nisko w opinii publicznej i w opinii swojej małżonki. Najskrupulatniejsze zachowanie wszystkich konwenansów, nawet przy największej poufałości jest zawsze dowodem prawdziwej dystynkcyi i dobrego wychowania.

Nauka życia wymaga, aby wszelkie obowiązki uprzejmości nie były zaniedbywane w kole rodzinnem, tak samo jak wśród obcych — tak co do pierwszeństwa miejsc przy stole, jak co do ugrzecznienia i podania ręki na przechadzce — w sposobie prowadzenia rozmowy, słowem zawsze i wszędzie, we wszelkich okolicznościach życia. Zdaniem naszem, spełnianie tych obowiązków wśród rodziny powinno być bardziej jeszcze sumienne i staranne.

Gdy naprzykład, pomiędzy przyja-

ciółmi wystarcza rzucenie biletu wizytowego, między krewnymi odwiedziny osobiste są rzeczą konieczną. W razie niemożliwości zaś, napisanie długiego i serdecznego listu jest niezbędne. Jeśli uprzejme przyjęcie wystarczy dla przyjaciół, a ofiarowanie małego podarku będzie już dla nich dowodem wielkiej życzliwości; krewnego lub krewną powinno się gorąco i serdecznie przyjąć, uraczyć, a nawet obsypać podarunkami.

W rodzeństwie, bracia dla sióstr i siostry dla braci winni być zawsze pełni grzeczności i wzajemnego szacunku. Starszemu w rodzeństwie, tak zwanej głowie rodziny, pozostawia się pewne przywileje, nawet pewien rodzaj władzy nad młodszemi dziećmi. Przyjęte jest, że dzieci aż do dnia, w którym przystępują do pierwszej komunii św., idą przed matką, wychodząc na przechadzkę, przechodząc przez drzwi, wsiadając nawet do powozu. Po pierwszej komunii chłopcy muszą już postępować za matką. Z dziewczynkami jednak ma się inaczej. Panna do lat dwudziestu idzie zawsze przed rodzicami. Na przechadzce zatem, gdziekolwiekbądź w mieście czy

na wsi, dzieci i panienki muszą iść przed rodzicami.

Powinno uczyć się dzieci od najmłodszych lat ażeby nosiły zawiniątka, pakiety kupionych przedmiotów w sklepach i t. p., aby przysuwały stołeczki pod nogi, aby podawały krzesła i t d. Najgorzej jest widzianem jeżeli syn lub córka idą z próżnemi rękami, podczas kiedy matka lub ojciec dźwigają jakieś przedmioty. — Rodzice żony lub męża powinni być otoczeni równym szacunkiem i poważaniem jak własny ojciec i matka; nie mają jednakże prawa uważać się za panów w domu zięcia.

Ojciec i matka zajmują w powozie miejsca w głębi; córki siedzą na przodzie. Jednakże zwyczaj jest, że córce zamężnej ojciec ustępuje pierwszeństwa, chyba że jest już w bardzo podeszłym wieku. Od zamążpójścia córki, we wszystkich okolicznościach życia, ojcowie tak przy stole, jak na przechadzce i w salonie, pozwalają jej zajmować pierwsze miejsce.

W teatrze, w loży, w trybunach wyścigowych, parlamentarnych itd., na przodzie siada matka z córką, a ojciec z tyłu. Na przechadzce wolno jest ojcu podać

rękę córce a nie matce, młodemu zaś człowiekowi niewolno jest podać ją siostrze, kiedy matka jest tamże obecną. Stryj lub wuj może podać ramię siostrzenicy, a synowiec obowiązanym jest prowadzić pod rękę ciotkę lub stryjenkę, a nie kuzynkę. W obecności żony mąż podaje ramię swojej teściowej, swojej matce, albo jakiej krewnej w podeszłym wieku, ale nie szwagrowej albo siostrze, i to tylko w takim razie, jeśli żona jego ma wpośród zgromadzonych osób kogoś, ktoby stanowiskiem, jakie zajmuje w świecie, zasługiwał na prawo podania jej ręki. Przeciwnie dzieje się przy podawaniu ręki, kiedy się przechodzi z salonu do jadalnego pokoju. Wtedy mężczyzna podaje ramię osobie zaproszonej, albo przez którą jest zaproszony, albo też innym paniom, nigdy zaś swojej żonie. chyba że są sami we dwoje.

Rozmowa w salonie.

Rozmowa w salonie wymaga przedewszystkiem taktu, humoru i rozsądku więcej niż nauki i wykształcenia. Osoba

najdowcipniejsza nie uczyni jej miłą i zajmującą, jeśli nie posiada przymiotów wspomnianych Bywają osoby niby to dowcipne, lecz jeśli są jednak przytem złośliwe, rozmowa ich staje się wkrótce nieznośną, męczącą i nudną. Bez ciepła serdecznego, i wikwintnej uprzejmości. rozmowa ludzi dobrze wychowanych obejść się nie może.

Osoba dobrze wychowana nigdy niepowinna przerywać mówiącemu. Dopiero jeśli mówiący skończy, przychodzimy po nim do słowa. Jeśli jednakże, w chwilowem uniesieniu, przerwaliśmy komu mowę — czego trzeba jednak strzedz się bardzo, zwłaszcza rozmawiając z osobami starszemi wiekiem i stanowiskiem — wypada wytłumaczyć się natychmiast z przyczyny przerwania i przeprosić najuprzejmiej tak mówiącego jak i słuchających. Po przerwie, która niepowinna trwać długo, powinniśmy sami poprosić osobę której przerwaliśmy, aby mówiła dalej, a nawet przypomnieć jej na czem stanęła.

Jeśli nie można wstrzymać się od przerwania rozmowy, zapanować nad żywością uczuć i wrażeń i zmuszoną się jest znosić nudne opowiadania, albo głos przykry, krzykliwy, niemile w ucho wpadający,

lub wytrzymywać rozprawy wprost przeciwne naszym przekonaniom lub zasadom, w takim razie przerywając rozmowę, uczynić to wypada bardzo delikatnie, aby nikogo nie obrazić. — W towarzystwie ludzi dobrze wychowanych, taka delikatna przerwa miewa często słuszną i racyonalną przyczynę. Czasem ktoś naprzykład, rozwlekłością opowiadania zatrzymuje niecierpliwiące się pary taneczne, albo osoby starsze, pragnące zasiąść przy zielonym stoliku. Wtedy jeden z gości przerywa grzecznie i od niechcenia. Niechże już mówiąca lub mówiący nie wraca do rozpoczętej rozmowy, lecz skróci jaknajbardziej opowiadaną historyę i oswobodzi stojących i niecierpliwiących. Nieraz znów gospodyni lub gospodarz domu sami przerywają rozmowę, bo mówiący nie wiedząc, dotyka boleśnie położenia jednej z osób, znajdujących się w salonie. Trzeba wtedy w lot zrozumieć powód przerwania i nie upierać się przy przedmiocie podniesionym lub przy swojem zdaniu. Zresztą, chociaż przerwanie rozmowy jest niegrzeczne, a nawet niedelikatne, jednakże nie powinno się opryskliwie i hardo stawiać mu czoła, byłaby to bowiem rywalizacya z przery-

wającym, o palmę pierwszeństwa w złem wychowaniu. Lepiej ustąpić, składając tym sposobem dowód swojej wyższości i dobrego wychowania.

W rozmowie salonowej, tak jak w każdej innej nie wypada nigdy mówić źle o drugich. Powinno się wybierać temata sympatyczne dla słuchaczy, przedewszystkiem starać się bawić i zajmować wzajemnie. Nie często zapytywać, — odpowiadać krótko, a słuchać uważnie. Ironia i wyśmiewanie osób znajdujących się w salonie, wykluczone być powinny z rozmowy. Szyderstwo, choćby najdowcipniejsze jest zawsze bolesne i pozostawia po sobie gorycz, oziębiającą zwykle stosunki towarzyskie. Żart złośliwy, chociaż wprost do kogoś niewymierzony, spada jak strzała na oślep i zwykle rani tą osobę, której żartujący dotknąć nie myślał.

Nigdy niepowinno się żartować z ułomności fizycznych. Wszelkie żarty w tym rodzaju są nietylko dowodem złego wychowania, ale zarazem i dowodem złego serca i płytkości umysłowej.

Rozmowa salonowa, powinna być lekka i swobodna. Długie dyskusye nużą i nudzą. Przemawiający z kazalnicy lub

z mownicy parlamentarnej, ma prawo domagać się uwagi słuchaczy, gdyż jeśli kto nie chce go słuchać, może nie przyjść, albo nawet przyszedłszy, wyjść; ale w salonie zrobić tego nie można Tu każdy przychodzi rozerwać się i zabawić. Narzucać mu zatem długie wywody i nużące kazania jest rzeczą niegrzeczną i niewłaściwą Przyznać trzeba, że panie lepiej umieją rozmawiać od mężczyzn. Szczęśliwiej są uposażone od natury. Wprawdzie bardzo często dotykają zaledwie pobieżnie sprawy, nie zgłębiając jej wcale, ale dowcipnie dają sobie radę, z najzawilszemi kwestyami, zręcznie omawiają to, czego nie znają lub nie rozumieją, ślizgając się po powierzchni najrozmaitszych tematów, z wprawą i biegłością wytrawnych łyżwiarek. A przedewszystkiem w szermierce polegającej na grze wyrazów, nikt już kobietom dorównać nie może.

Ton rozmowy nie powinien być ani krzykliwy, ani zniżony do szeptu. Tak jedno jak drugie jest oznaką pospolitości. Szeptać wobec osób trzecich jest nieprzyzwoicie i niegrzecznie. Choć głos jest krzykliwy z natury, można go jednakże uczy-

nić przyjemniejszym. przez panowanie nad nim.

Osoba dobrze wychowana i uważająca na formy, nie powinna zaprzeczać osobie opowiadającej jakieś zdarzenie, choć ta je przedstawia w niewłaściwem świetle, nawet gdyby to była rzecz małej wagi i nic nas wcale nie obchodząca. Prostowanie błędów — po większej części zmyślonych — obraża zawsze: a wszelkich tego rodzaju sporów, naruszających harmonię stosunków towarzyskich, unikać powinno się. Najlepiej w takich wypadkach nic nie odpowiadać i udawać, że o fakcie opowiadanym, po raz pierwszy słyszy się, chyba, że opowiadający, przedstawia w fałszywem świetle postępowanie albo charakter kogoś z naszych krewnych lub bliskich przyjaciół, a nawet, nieznanych nam, ale zacnych i szanowanych ludzi. Wtedy honor nakazuje zaprzeczyć i bronić.

Młode osoby nie powinny zbyt gorąco bronić swoich przekonań wobec osób starszych wiekiem i stanowiskiem, jeśli te ostatnie są przeciwnego zdania; tem mniej jeszcze kłócić się z nimi o różnicę zapatrywań pewnych faktów lub wyobrażeń. Obowiązkiem ich jest ustąpić w dyspucie,

a nie upierać się zacięcie, dowodząc, że one właśnie mają słuszność. Ustępstwo to poczytane jest zawsze młodym za takt i dobre wychowanie.

W ogólności, w rozmowie salonowej, powinno się unikać przedmiotów wywołujących zbyt wielką różnicę zdań, i wynikających stąd burzliwych dysput. Kiedy spostrzeżemy, że osoba, z którą rozmawiamy jest innych od nas przekonań, powinno się zręcznie i z godnością jej ustąpić albo — w danej chwili — zamilczeć bez oznak niezadowolenia, albo wreszcie zręcznie zwrócić rozmowę na co innego. W ogóle w rozmowie salonowej, powinno się zawsze składać dowody wielkiej pobłażliwości, wyrozumiałości, dobroci i wzajemnych ustępstw, bez czego konwersacya staje się zawsze ciężarem nieznośnym i przykrym.

Zachowanie się na ulicy, w ogrodzie lub na przechadzce.

Osobę dobrze wychowaną umiejącą się znaleść i dystyngowaną, zaraz poznać można, nawet na ulicy, z pierwszego wejrzenia. Zawsze krok jej będzie równy

i miarowy, czy idzie powoli czy śpieszy się. Przedewszystkiem strzedz się powinno, kogokolwiek potrącić. Trzeba iść prosto, równo, bez odwracania się, zatrzymując się chyba tylko przed sklepami, trzymając się prawej strony drogi, nie patrząc ani w górę, ani na ziemię, lecz o kilka kroków przed siebie. Brakiem wychowania jest odwracać się ostentacyjnie za przechodzącymi lub zaglądać do okien. Znajomym spotykanym po drodze uprzejmie ukłonić się, ale unikać dłuższego zatrzymywania się przy spotkaniu, a zwłaszcza towarzyszenia im w dalszą drogę, jeśli nas o to nie proszą, albo przynajmniej nie zachęcą, jakiemś miłem lub przyjaznem słówkiem.

Kiedy przechadzamy się ze znajomymi, a ktoś im się kłania, nam osobiście nieznany, powinnością jest odkłonić się także, ale obojętnie i nie patrząc wcale na kłaniających się. Kobieta, w takim razie, zaledwie uchyla głowę, w sposób prawie niedostrzeżony, odkłaniając się nieznajomemu jej mężczyźnie; mężczyzna zaś kłaniając się nieznajomej damie, unosi kapelusz trochę wyżej, niż kiedy oddaje ukłon nieznajomemu mężczyźnie.

Gdy spotykamy osoby wiekowe lub bardzo poważne stanowiskiem ustępuje się im prawa strona chodnika.

Na schodach, tym których uczcić pragniemy, ustępujemy miejsca przy poręczy. Grzeczność, osobliwie na wąskich schodach, nakazuje zatrzymać się na ich skręcie lub na piętrze i zaczekać dopokąd spotkane osoby, zwłaszcza kobiety lub ludzie w wieku podeszłym, nie wejdą lub nie zejdą. Ci zaś powinni wywdzięczyć się za ten dowód uprzejmości przyspieszając kroku. Przytem obowiązani są przechodząc obok osoby, która czeka, ukłonić się jej, na co ona powinna odpowiedzieć lekkiem schyleniem głowy.

Potrąciwszy mimowoli przechodnia na ulicy, chociażby to był człowiek należący do najniższej sfery towarzyskiej, powinno się go bardzo grzecznie przeprosić.

W drzwiach, które się same za sobą zamykają, a szczególnie w drzwiach kościelnych, gdy spotkamy się, nawet z nieznanemi osobami, powinno się ręką przytrzymać podwoje, dopokąd wchodzące lub wychodzące osoby nie przytrzymają je dalej. Kiedy pragniemy osobie wchodzącej lub wychodzącej okazać nasze głę-

bokie uszanowanie wtedy możemy przytrzymać drzwi aż do chwili, w której znajdzie się ona za niemi. Dowód takiej uprzejmości daje się jednak tylko ludziom znacznie od nas starszym, albo zajmującym bardzo wybitne i wyższe stanowisko społeczne.

Przechodząc przez drzwi, jeśli ktoś, nieznajomy ustępuje nam miejsca, nie należy ceremoniować się zbyt długo, tylko grzecznie dziękując przejść jak najprędzej. Tego rodzaju podziękowania lub przeprosiny, powinny być w ogólności niezmiernie krótkie i wyrażać się więcej spojrzeniem Długie ceremonie przy przechodzeniu drzwi w salonie lub w pokoju jadalnym, oraz długotrwające wzajemne ustępowanie sobie kroku, wyszło już dawno z mody. Im króciej trwają takie ceremonie, tem lepiej, grzeczniej i przyjemniej, tak dla jednej jak dla drugiej strony.

Stanie w oknie i przyglądanie się z niego ruchowi ulicznemu wiele osób uważa za nieodpowiedne. Niema jednak w tem nic złego, przeciwnie, jest to zupełnie naturalne, okna bowiem służą nietylko do wpuszczania światła do pokojów, ale także i do patrzenia przez nie. Nie

ma jednakże sensu i źle jest widziane, jeżeli młode panny ciągle przesiadują w oknie, narażają się bowiem tem na obmowę. — Niestosowne jest i niewłaściwe, gapienie się na ulicy, zadzieranie głowy do góry i zaglądanie przez okna do mieszkań na parterze.

Przed kilku laty moda nie pozwalała na prowadzenie z sobą po ulicy psów lub piesków. Dziś zmieniły się dawne zapatrywania i poglądy w tej mierze, a najdystyngowańsze damy, należące do najlepszego świata, wychodzą z psami na ulicę. —

Gdy siedzimy w ogrodzie publicznym na ławeczce, a zbliżają się do nas znajomi z powitaniem, grzeczność nakazuje powstać z miejsca i rozmawiać stojąc, dopokąd nie odejdą

Jeśli siedzimy w towarzystwie osób nieznanych dla zatrzymujących się, nie powinno się ich prosić aby obok nas usiadły.

Rozmawiając z osobą, która się do ławki naszej zbliżyła, trzeba stać ciągle, jeśli chcemy aby nie usiadła. Usiąść po pierwszych wyrazach jest jakby upoważnić przybyłego, ażeby usiadł także. Wprawdzie człowiek dobrze wychowany tego nie

uczyni, aż dopiero gdy zostanie zaproszony, ale ludzi dobrze wychowanych — w całem znaczeniu tego wyrazu — rzadko się dziś spotyka; a widzimy co krok ludzi którym się zdaje, że niegrzeczność czyjaś, upoważnia do wywzajemniania się niegrzecznością. Zasada to jednak bardzo fałszywa i sprowadzająca rozstrój w stosunkach towarzyskich. Karcić i prostować niegrzeczność, można tylko dobrym przykładem.

Kobieta gdziekolwiek się znajduje, w salonie, w ogrodzie, czy na innem miejscu przechadzki publicznej, nie powstaje na powitanie mężczyzny. Tenże, jeżeli dobrze wychowany, nie usiędzie przy niej, dopokąd go kobieta o to nie poprosi.

Są i tu jednak pewne odcienia na które trzeba koniecznie zwrócić uwagę.

Kobieta zapraszająca mężczyznę, aby usiadł przy niej w ogrodzie publicznym, daje przez to poniekąd do zrozumienia, że towarzystwo jego jest jej przyjemne, i że pragnie korzystać z jego miłej lub rozumnej rozmowy. Jeżeli więc nie jest to człowiek stary, poważany i powszechnie szanowany, albo zajmujący wysokie stanowisko, kobieta nie powinna mu robić

tego niewinnego awansu, — bo miłość własna mężczyzn tak ich nieraz zaślepia, że z najbłachszego powodu wyciągają krzywdzące wnioski dla kobiety. — Większość mężczyzn nie umie odróżnić grzeczności od kokieteryi i bierze dowód uznania, za oznakę miłości i chęć narzucania się. Pod tym względom — powiadamy szczerze — zarozumiałość mężczyzn nie ma granic. Ileż to razy słyszymy ludzi, nawet uczciwych i uchodzących za rozsądnych, mówiących głośno i z pewnem widocznem zadowoleniem: „Ciągną mnie do panny... która czule do mnie oczki zawraca, chociaż nie chcę o niej myśleć!“ albo: „Nie wiem, co sobie pani *** do mnie upatrzyła, ciągle mnie zaprasza...„ ; albo: „Nie mogę dać sobie rady z panną W.; chwili spokoju mi nie daje; jest dla mnie tak miłą, ale tak miłą!.. „; albo: „Odstępuję ci pannę J.; żeń się z nią, ładna i posażna; wprawdzie kocha się we mnie rok cały, ale ja nie chciałem się jej oświadczyć!“ albo: „Oj! ta pani P.; wstępnym bojem zdobywa serca! Ani rusz się jej wykręcić!“ I tak dalej i dalej ... ale coraz gorzej. Bo niestety! jakieśmy to już wyżej powiedzieli, mężczyzna w ogólności

jest pod tym względem bardzo niemądry i zarozumiały. Zdaje mu się, że pomimo łysiny, zeza, garbu, otyłości i tysiącznych ułomności fizycznych i moralnych, może podbić, zachwycić i oczarować swoją osobą, nawet szesnastoletnią, prześliczną dzieweczkę. Winę zaś tego niech sobie po części przypiszą mamy i córunie, goniące zażarcie za epuzerami, kobiety salonowe, pragnące otaczać się zgrają wielbicieli; oraz ciocie i wujenki, wiecznie wszystkich swatające i przez to narażające na śmieszność swoje pupilki. Za kilka waryatek źle wychowanych odpowiada cały ogół niewieści, według nich sądzony t. j. kobiety rozsądne, nic nie winne, widzące w mężczyźnie to, czem być powinien: przedewszystkiem bliźniego swego, a następnie człowieka dobrego albo miłego w towarzystwie, — nie myślące wcale o wprzęgnięciu go w swój rydwan, jako stałego admiratora swych wdzięków, ani też o przyciągnięciu go do córek na męża. Dlategoż zwróciłyśmy tu uwagą pań na zachowanie pewnej miary w awansach robionych mężczyznom. Potrzeba najpierw dobrze poznać, z kim się ma do czynienia, a oceniwszy dostatecznie, postępować z panami

i paniczami grzecznie i przyjaźnie lub grzecznie, lecz obojętnie i zimno.

Człowiek dobrze wychowany i przejęty do głębi szacunkiem dla kobiet obawia się być natrętnym i sam się nigdy nie narzuci. Wszystko więc jak wyżej wspomniałyśmy, polega na znajomości charakterów. Odcienie zachowania się powinny być stosowane do ludzi. Dla człowieka dystyngowanego i dobrze wychowanego, który pragnie korzystać z damskiego towarzystwa bez żadnych uroszczeń i pretensyj, bez fałszywego tłumaczenia sobie i innym stosunków towarzyskich, kobieta może być bezkarnie grzeczną i poprosić go nawet, aby usiadł przy niej na ławce lub krześle w ogrodzie publicznym, — ale próżnego, lekkomyślnego, zarozumiałego i nieumiejącego ocenić właściwie uprzejmości niewieściej, powinna traktować zimno i obojętnie, trzymając go zawsze w pewnem od siebie oddaleniu.

Nie powinno zbliżać się do znajomych, przechadzających się w ogrodzie publicznym, jeśli w ich towarzystwie znajdują się osoby nam nieznane ; chyba, że pierwsi do nas zbliżą się. Uprzejmy ukłon z daleka, najzupełniej wystarcza w takim razie.

Panna dobrze wychowana nie powinna w towarzystwie służącej, a nawet nauczycielki, chodzić na spacery publiczne w których gra muzyka wojskowa, gdzie publiczności dużo. Tam udać się może tylko ze swemi rodzicami, lub z rodziną złączoną przyjacielskimi stosunkami z jej rodziną. — Z guwernantką lub panną służącą wychodzi się tylko do kościoła, na lekcye, po sprawunki, albo na spacer dla zdrowia. Do takiej hygienicznej przechadzki, powinno się wybierać miejsca mało uczęszczane i ubierać się jak najskromniej.

W sali koncertowej, na przechadzce, — a nawet w ogrodzie publicznym, nie powinno się siadać plecami do przechodzących. Nie wypada także stawiać krzesła swego wśród drogi lub ścieżki, robiąc niby rodzaj tamy dla przechadzających się. Nie trzeba również przysuwać zbytecznie swego krzesła do krzeseł lub ławek zajętych przez osoby nieznane, siedzące dawniej od nas i rozmawiające z sobą, można się bowiem narazić na podejrzenie, że pragniemy podsłuchiwać ich rozmowę i postępujemy bez taktu.

Pisanie listów i korespondencya.

Umiejętność korespondowania nie polega koniecznie na samej wytworności stylu. Więcej tu działa zręczność piszącej. Długie i wyszukane wyrazy, pewna rytmiczność prozy, piękna w książce, niewłaściwa jest w liście, a nawet śmieszna.

Charakter pisma papier użyty, złożenie listu, są owymi tysiącznymi drobiazgami, które określają wiek, stanowisko społeczne i usposobienie piszącej. Układ zaś pisma, ład w niem zachowany, użycie pewnych form świadczą o takcie i znajomości świata. Bywają osoby, które są uosobieniem porządku, u tych charakter pisma jest zawsze wyraźny, czysty i jasny; nie znajdzie się nigdy żadnej bazgraniny, żadnych przekreśleń, widać że nie wezmą nigdy złego pióra do ręki i że całą swą uwagę poświęcają starannemu i poprawnemu wykończeniu korespondencyi. Inne co chwila poprawiają i skrobią wyrazy i zdania, są to osoby słabego charakteru; inne znowu dodają na końcu listu dwa albo trzy dopiski, są to zazwyczaj osoby roztargnione i roztrzepane, te co chwila zapominają czegoś, to potem znow przy-

pominają sobie. Są i takie kobiety, które piszą na różowym papierze z nagłówkami strojnemi w girlandy, bukiety i dewizy, bywają to po największej części stare panny, albo stare kokietki, o usposobieniu romantycznem. — Powtarzać na kopercie dwa razy Monsieur, albo Madame już dawno wyszło z mody, tak samo jak pieczętowanie listów opłatkami. Jest to zwyczaj już bardzo zastarzały.

List powinien być zawsze, czytelnie napisany, czysto i starannie. Jednakże między przyjaciółmi, przekreślenia i poprawki najzupełniej są dozwolone. Papier modny i zawsze najładniejszy jest biały, dość gruby, nieprzebijający atramentu i nie szklący.

Mówić o formacie listowego papieru, o sposobie składania go, o kształcie koperty, o odciskach liter, o herbach i t. p. nie ma co, bo te tworzy zawsze moda i te nie mogą być zawsze jednakowe. Moda dość często przekształca je i zmienia.

Jak listy do kogo pisać, trudno stanowczo oświadczyć, tu możemy tylko nadmienić, że na zupełną i bezwględną poufałość nie ma reguł. Do przyjaciół lub do osób z któremi serdecznie żyjemy

wszystko jest dobre, co serce dyktuje, i wolno zapisać cały list od góry do dołu, jak się komu podoba, aby tylko wyrażał wszystko, co pragniemy i chcemy powiedzieć.

Nie jest dobrze widziane jeśli panienka koresponduje z mężczyzną. Listy jej ręką nakreślone, nie powinny znajdować się w posiadaniu mężczyzny, wyjąwszy: ojca, brata, bardzo bliskiego krewnego albo człowieka w podeszłym wieku, powszechnie szanownego. Świat chętnie i łatwo posądza; a najniewinniejsze listy panieńskie, dzięki właśnie swojej naiwności — bywają nieraz złośliwie tłumaczone i stają się często powodem rozmaitych nieprzyjemności i przykrych nieporozumień rodzinnych.

Osoby udające się w podróż, piszą pierwsze do tych, które pozostały na miejscu. Te zaś powinny im odpisać w jak najkrótszym przeciągu czasu.

Korespondując z przyjaciółmi, obojętnymi, przełożonymi, z osobami starszemi wiekiem albo zajmującemi wyższe stanowisko społeczne i towarzyskie, słowem z wszystkiemi, zachować należy te same reguły, jakie obowiązują przy oddawaniu wizyt, to jest: pisze się mniej

więcej w tym samym czasie, w jakim — mieszkając w jednem i tem samem mieście — oddałoby się, stosownie do stosunków nas łączących, wizytę lub rewizytę.

Charakter i styl listu powinien rówież odpowiadać charektorowi stosunków, jakie nas łączą z osobą. do której piszemy. Nie może być poufały, jeśli stosunki są chłodne i przeciwnie. Ponieważ słowo ulatuje a pismo zostaje, więc list powinien nosić na sobie cechy większej uprzejmości i ugrzecznienia niż rozmowa w salonie.

Odpowiadając na pismo odebrane, powołujemy się na nie zwykle w naszej odpowiedzi. Nie trzeba jednakże z tego powodu przepisywać prawie całego otrzymanego listu — jak to czynią niektórzy — albo odpowiadać na zapytania w tymże samym porządku, w jakim zostały uczynione, jakbyśmy załatwiali referat jakiś urzędowy, numer po numerze, paragraf po paragrafie — co może być właściwe w korespondencyi handlowej, śmieszne jest w listach prywatnych. Styl listu inteligętnej kobiety, musi mieć pewną swobodę; powinno się przeskakiwać łatwo z przedmiotu na przedmiot. Trzeba starać się koniecznie być zajmującą i interesującą zarazem.

W listach — słowa pisane, powinny być zawsze bardziej oględne. Powinno się bardzo uważać na każdy wyraz, który się pisze, ponieważ mowa ulatuje a pismo zostaje! Dlatego też pisząc listy trzeba koniecznie *zwracać niezwykłą uwagę na to, co się pisze, również przyjmować to co do nas napisano, z wielką wyrozumiałością.*

Pisząc do osób równych sobie stanowiskiem i urodzeniem, z któremi jednak nie jesteśmy w zażyłości, nie możemy rozpocząć listu od wyrazów *Kochany Panie*, lecz pisze się zwykle *Szanowny Panie*. Jest to zatytułowanie bardzo godne, lecz u nas tak się z spozpolityzowało, że rozpoczynamy nim nieledwie każdy list. Francuzi pod tym względem są daleko racyonalniejsi, mają bowiem krótkie *Monsieur* albo *Madame* które doskonale wystarcza i do niczego nie zobowiązuje. Po „Szanowny Panie", które pisze się w górnej połowie pierwszej kartki, pisze się dalej do równych sobie bez marginesu. Kończy się zwykle pisanie na półtora cala na dole, przenosząc dalszy ciąg na drugą stronę. Zaczyna się od góry, mniej więcej w trzech czwartych

kartki. Tak samo na trzeciej i na czwartej stronnicy, kończąc zawsze ostatni wiersz na półtora cala od dołu stronicy. Serdeczne wyrazy życzliwości piszą się w jednym ciągu, tylko formułka przedpodpisowa: twoja życzliwa, prawdziwa przyjaciółka, it.p., pisze się w osobnym wierszu trochę ku prawej stronie Adres (pisząc do osób równych sobie) można wraz z datą umieścić w górze lub przy końcu listu, jak się komu podoba. Panna obowiązaną jest, podpisując się, wyraźnie umieścić tak imię chrzestne jak i nazwisko rodzinne; mężatka tylko pierwszą literę imienia i nazwisko po mężu, wdowa również. Dodawanie wdowa po... wyszło zupełnie z mody! — używane było dawniej, przed laty. Mężczyzna może podpisywać całe imię chrzestne lub pierwszą tylko literę. Ludzie, żyjący w najbliższych z sobą stosunkach, nie są obowiązani koniecznie podpisywać się całem nazwiskiem, imię samo wystarcza.

Zakończenie listów może być następujące. Do osób starszych wiekiem: Racz przyjąć Szanowny Panie wyznanie mego prawdziwego szacunku, albo mego głębokiego poważa-

nia, albo mojego szczerego uszanowania. Do osób równych nam wiekiem lub młodszych: Racz przyjąć..., wyznanie mojej serdecznej życzliwości, lub mojej przyjaźni itp. Moje pozdrowienie używa się do osób niższe zajmujących stanowisko. Kobieta nie może i nie powinna zapewniać mężczyznę o swoim szacunku, chyba ten, do którego pisze jest starcem, ani o swojem przywiązaniu, chyba pisząc do bliskiego krewnego, ani o swoim poświęceniu, chyba, że do takowego ma on najzupełniejsze prawo. Zasyłać uprzejmie wyrazy jest czemś pośredniem pomiędzy chłodną ceremonią a poufałością. Pisząc do swego nauczyciela lub profesora, można użyć posłuszna albo przywiązana uczennica, zresztą życzliwość i przywiązanie może się znaleść równie dobrze przy końcu listu, pisanego do wyżej i do niżej od nas położonych osób.

Forma biletowa listów u nas nie jest używana, chyba na zaproszeniach na bale, wieczory lub rauty. Także na kartach donoszących o śmierci.

Podania i prośby do wysokich urzędników piszą się na papierze arkuszowem, według przepisów, które wskazane są w biurach rządowych,

Listy z życzeniami powinszowaniami, ze współczuciem w nieszczęściu i żalu, powinny być bardzo krótkie, lecz pełne uczucia. Powinno się w nich wspomnieć o zaletach lub zasługach nieboszczyka i wyrazić choć w części pociechę, zdolną osłodzić lub zmniejszyć boleść i cierpienie.

Wszystkie listy bez wyjątku powinny być posyłane w kopertach. Zwykłe gumowe zaklejenie kopert jest wystarczające, jednakże ważniejsze listy, albo adresowane do przełożonych lub do osób wysoko położonych w hierarchii rządowej lub światowej, lepiej jest zapieczętować lakiem i pieczątką. Wszystkie emblematyczne pieczęcie nie używają się, jak tylko do osób równych sobie i z któremi zostaje się w większej zażyłości. Musimy jednak dodać że dziś są już niemodne.

Nazwa kraju lub powiatu, do którego list adresujemy, pisze się na kopercie po prawej stronie u góry i podk˙eśla się. Pocztowa marka zaś przykleja się po lewej stronie, przeciwlegle. W połowie ko-

perty pisze się imię, nazwisko, tytuły adresata, potem miasto albo ostatnia poczta, nakoniec ulica i numer.

Korespondencya stała i nieprzerwana istnieje zwykle tylko pomiędzy bliskimi krewnymi, rodzicami i dziećmi, oraz pomiędzy osobami pozostającemi w nader przyjaznych i zażyłych stosunkach. Nie podobna w ten sposób korespondować ze wszystkimi znajomymi. Zabrałoby to niezmiernie wiele czasu, nie przynosząc ani zbyt wielkiej przyjemności, ani korzyści, tak dla jednej jak dla drugiej strony. Ale co innego jest stale korespondować, a co innego pisywać listy, o ile tego konieczność i potrzeba wymagaja. Osoba dobrze wychowana obowiązana jest odpisać na każdy list przez siebie odebrany, choćby tylko w kilku krótkich wyrazach — i to w jak najkrótszym czasie.

Nieodpisać na list, jest impertynencyą, która zakorzeniła się u nas, od pewnego czasu. Jest to dowodem braku wychowania. — Nie wolno jednak nikomu tłumaczyć się brakiem czasu. — Wszyscy, nawet ci, co pracują od rana do wieczora, mogą znaleść chwilkę czasu do nakre-

ślenia kilku słów odpowiedzi na list otrzymany, chociażby tylko dla wymówienia się od dalszej korespondencyi Mówimy wiele o równości, przechwalamy się cywilizacyjnemi zdobyczami epoki dzisiejszej, a zapominamy o najkardynalniejszym obowiązku grzeczności, jakim jest odpowiedź na pismo otrzymane. Nieodpisanie na list jest taką samą niemal niegrzecznością, jak nieodkłonienie się osobie witającej nas uprzejmie. Wprawdzie życie czynne, życie zajęć i pracy, wyklucza stałą i ciągłą korespondecyę — często nawet pomiędzy najbliższymi przyjaciółmi — ale wielka jest różnica korespondować ciągle, a co innego odpisać na list otrzymany.

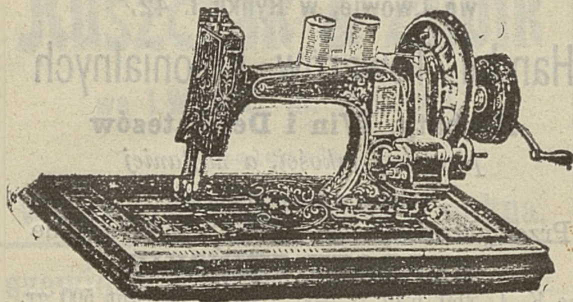




Ogłoszenia



Sprzedaż na raty i za gotówkę!



Singera maszyny

do szycia i haftu

Ręczne od 50 koron do 96 koron
Nożne „ 54 „ „ 130 „

Maszyny moje szyją bardzo cicho, lekko, pięknie — odznaczają się bardzo pięknym i trwałym meblem.

NAPRAWA MASZYN WSZYSTKICH SYSTEMÓW
Cenniki illustrowane wysełam bezpłatnie.

☛ *Bezpłatne kursa szycia i haftu.*

Z poważaniem
JAN LAURUK
mechanik
we Lwowie, ulica Halicka l. 6.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO Lwów Rynek l. 32.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO we Lwowie Rynek l. 32.

MAGAZYN
towarów bławatnych i płócien
Stachiewicza i Abrysowskiego

we Lwowie, Rynek l. 32

poleca

wielki wybór najmodniejszych materyj wełnianych i jedwabnych, Sukienka czarne i kolorowe, Jedwabie i Aksamity Lyońskie, Kretony, Perkale i Satyny francuskie, Szale, Pledy, Chustki zimowe i letnie, Kapy i Serwety gobelinowe i pluszowe, Kocyki do nakrywania łóżek.

PŁÓTNA

irlandzkie, rumburgskie i holenderskie

PERKALE, SZIFONY, DYMKI

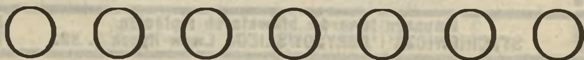
Bieliznę stołową

RĘCZNIKI i CHUSTKI DO NOSA.

Próby rozsyłamy na żądanie franko.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO we Lwowie Rynek l 32.

Magazyn towarów bławatnych i płócien
STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO Lwów Rynek l. 32.



O prawdziwej wartości tej książki świadczy także fakt, że pierwsze jej wydanie w ciągu kilku miesięcy zupełnie zostało wysprzedane. Drugie wydanie znacznie rozszerzone i ozdobione licznymi rycinami znajdzie niezawodnie jeszcze większe uznanie i poparcie.

„Dziennik polski" z dnia 10 października w obszernej ocenie tej książki pisze między innymi:

Nie jest to wcale jedna z pojawiających się od czasu do czasu poradników lekarskich, których użyteczność w rzeczywistości bardzo jest problematyczna. Autor postawił sobie za zadanie nie leczenie chorób, lecz jedynie zapobieganie im, a zadanie to spełnia nader sumiennie i umiejętnie, omawiając z kolei wszystkie czynniki, szkodliwe zdrowiu, wszystkie przesądy, błędy i zaniedbania, popełniane przez większość kobiet w dziedzinie wychowania, odżywiania, ubrania, mieszkania i w najważniejszej ze wszystkich funkcyj, macierzyństwa . . .

Z wielkiem zajęciem dowiedzą się czytelnicy z następującego rozdziału, że hygiena jest najlepszym na świecie kosmetykiem, że ona jedynie może dać kobiecie „maksimum piękności" pod warunkiem, że się będzie nad zdrowiem czuwać od dzieciństwa". Co czynić należy, aby otrzymaną w darze od natury piękność utrzymać, aby organiczne błędy naprawić i zbliżyć się najbardziej do prawdziwego ideału piękności, który jest nierozłącznym od zdrowia i prawidłowej budowy ciała, o tem z całą dokładnością dowiedzą się czytelniczki z rozdziału p. t. „Piękność". Niemniej zajmującemi są wywody dra Hojnackiego, tyczące się ubrania kobiecego i wykrycia zbrodniczych częstokroć usiłowań mody, przesądu i zwyczaju, które uniemożliwiają dopięcie trzech głównych celów ubrania: moralnego, estetycznego i hygienicznego.

W ustępach „Sen" i „Hygiena skóry i ciała" znajdujemy cenne wskazówki, jak uniknąć można bezsenności i wynikającego z niej zdenerwowania, oraz jak zapobiedz można wielu chorobom skórnym i zakaźnym Bardzo zajmującem jest dla pań omawianie środków kosmetycznych najpowszechniej używanych i racyonalne wskazówki co do pielęgnowania włosów, zębów, oczu i uszu.

Po raz pierwszy może w dziele popularnem, dla kobiet przeznaczonem, umieszczone są rady i nauki, tyczące się najważniejszej dla kobiety funkcyi macierzyństwa i umożliwiające jej odpowiedzieć naturalnemu swemu powołaniu „godnie i bez straty sił i zdrowia". Nie mogę powstrzymać się od przytoczenia tu własnych słów autora tak pięknych i przejmujących:

„Wszystko Opatrzność dała kobiecie, by spełnić mogła to posłannictwo: dała jej wdzięki, dała jej duszę rzewną i tkliwą, dała jej serce. A dla jej bólu, dla jej cierpień, stworzyła nawet słodkie uczucie macierzyństwa. I czyjąż wina, że tak często dzisiaj niestety z tego wspaniałego gmachu uczuć i obowiązków kobiety, zostają tylko gruzy, stargane nerwy, zniszczone zdrowie i parodya życia ?!"











TADEUSZ OKORNICKI

MAGAZYN PORCELANY i SZKŁA

we Lwowie, ul. Halicka l. 4,

poleca po możliwie najniższych cenach w wielkim wyborze

z pierwszorzędnych fabryk czeskich, francuzkich i saskich

Kompletne Serwisy stołowe i herbaciane

GARNITURY do UMYWALNI

SERWISY ze szkła grawerowanego gładkiego i rznietego

FAJANSE ANGIELSKIE

☛ Próbki czyli wzory porcelany stołowej wysełam pocztą do wyboru. ☚

WIELKA WYPOŻYCZALNIA naczynia stołowego.

Także noże, widelce, łyżki i łyżeczki z chińskiego srebra.

Zakład
Artystyczno Fotograficzny
E. Trzemeski
we Lwowie
ul. Trzeciego Maja 7.
Wykonuje:
Fotografie Portretowe
z połyskiem i platynowe
Powiększenia
i Reprodukcye
z każdej fotografii
obrazu i t. d.

Założony 1868

ROK ZAŁOŻENIA 1861.

FABRYKA i SKŁAD RĘKAWICZEK

Wyszczególniona Medalem zasługi w r. 1877.





JAN

CIROK

przedtem

E. ZIEGLER pod „RYCERZEM"

Rękawicznik i bandażysta

WE LWOWIE, PLAC MARYACKI L. 8.

obok handlu Wpp. Seyfartha i Dydyńskiego

poleca wielki wybór RĘKAWICZEK najmodniejszych i trwałych na każdy sezon oraz wszelkie artykuły w ten zakres wchodzące

a mianowicie:

Garnitury jelonkowe, Skóry jelenie na łóżka, Poduszki satianowe i jelonkowe, Bandaże rupturowe i inne, Pończochy na kurczowe żyły, Ramiączka do prostego trzymania się, Poduszki gumowe, Szelki francuzkie i angielskie, Krawatki mundurowe i cywilne, Kołnierzyki, manszety i spinki, Kołnierzyki i manszety gumowe, Paski i rzemienie do podróży, Obojczyki i półkoszulki dla księży, Hafty przyjmuje się do oprawy.

Łaskawe zamówienia zamiejscowe uskuteczna się szybko po stałych i umiarkowanych cenach.

Główny skład Colare Leo XIII.

Główny skład Colare Leo XIII.

ROK ZAŁOŻENIA 1861.

Różnorodne

LAMPY NAFTOWE

sprzedaję
ponader zniżonych
cenach fabrycznych
z gwarancyą za
dobroć i trwałość
swoich
wyrobów.

R. DITMAR
we Lwowie.

Skład
wszelkich
wyrobów
majolikowych i
fajansowych przydatnych do wodociągów
z fabryki
RUDOLFA DITMARA
w Znaim.

Sprzedaż najlepszej niezapalnej Nafty i Oliwy do palenia
Pająki różnorodne do oświetlenia elektr.

ANTONI HALSKI

HANDEL ŻELAZNY

Lwów, plac Maryacki l. 9.

poleca:



Kompletne urządzenia do kuchni i domów

Maszynki różnorodne do lodów, do mięsa tarcia, do kawy. — Kuchnie naftowe i spirytusowe.

Naczynia nowe blaszane emaliowane z miedzianą obręczą na dnie. Bardzo ładne i trwałe.

Wyroby nożownicze angielskie Geo Hides Son w Sheffild wyłączne zastępstwo na Austryę.

Łyżwy wszelkich systemów

NACZYNIA i NARZĘDZIA DO GOSPODARSTW WIEJSKICH

Meble żelazne: Łóżka, łóżeczka dziecinne, umywalnie, bidety klozety różnych systemów.

WIEŃCE METALOWE W NAJWIĘKSZYM WYBORZE.

rok założenia 1862.

NAJKOMPLETNIEJSZA NAJWIĘKSZA ORAZ NAJTAŃSZA

WYPOŻYCZALNIA

NUT I KSIĄŻEK

KAUCYA 12 fr. TYLKO ABONAMENT 40 ct. MIESIĘCZNIE

W HANDLU

STANISŁAWA KÖHLERA

UL. BATOREGO L. 28, TUŻ NAPRZECIW GIMNAZYUM FRANCISZKA JÓZEFA

